

Aleksander Błazejowski

CZERWONY BŁAZEN

Spis treści

1. Złoty Ptak i tajemniczy błazen
 2. Kaprys pięknej pani
 3. Przerażenie
 4. Morderstwo
 5. Następnego dnia
 6. Straszna wiadomość
 7. Śledztwo się rwie
 8. Przykre odwiedziny
 9. Pierwsze wyniki śledztwa
 10. Aresztowanie
 11. W więzieniu śledczym
 12. Zeznanie w prokuraturze
 13. Zapalenie mózgu
 14. Tajemnicza pani
 15. Powrót do zdrowia
 16. Niezwykłe zeznania
 17. Niespodziewany zwrot
- Zakończenie

Tekst wg wydania z 1925 r.

I

ZŁOTY PTAK I TAJEMNICZY BŁAZEN

Dzień pracy dawno się skończył – miasto zaczęło przechodzić w okres życia nocnego. Żyrandole i lampy uliczne rzucały silne snopy białego światła na pokryte śniegiem chodniki i jezdnie. Lekkie, drobne płatki śniegu wirowały w powietrzu, łamiąc w świetle lamp swoją biel na odcień srebra. Gdy ruch na przedmieściach i bocznych ulicach zamierał, główne arterie ożywiały się z godziny na godzinę coraz bardziej. Automobile, dorożki, prywatne ekwipaże mknęły jak strzała po białej ubitej drodze, zatrzymując się przed rzęsiście oświetlonymi wnętrzami teatrów, pierwszorzędnych restauracji i kawiarni.

Przeważną część powozów i automobili zatrzymywano przed białym barokowym pałacykiem, na którym widniał pomysłowy, z kolorowych lampek elektrycznych ułożony, napis:

Złoty Ptak

Wąskie afisze zapowiadały występ czerwonego błazna.

Westybul *Złotego Ptaka* wypełniony był już mrowiem ludzkim, cisnącym się do dwóch okienek kasy.

Czerwony błazen od kilku tygodni stał się osiłą zainteresowań próżniaczego życia stolicy. Największą sensacją, która jak mgła otaczała osobę czerwonego błazna, było, że nikt w stolicy nie wiedział, kim jest ten znakomity komik-humorysta, wykpiwający w przewybornych piosenkach życie ludzi i życie miasta. Czerwony błazen ostrzem swojej satyry ciął ludzką głupotę, zarozumiałość, kłamstwo, obłudę i manię wielkości. Czerwony błazen w swojej piosence nic oszczędzał nikogo, nawet najwyższych dostojników, kierowników państwa. Błędy i śmieszności tak zwanych „wielkości” ubierał w zgrabny rym i rzucał w formie melodyjnej piosenki, jak lekki balonik, w przepelnioną widownię.

Czerwony błazen!

Dziwny był ten człowiek o wytwornych, spokojnych ruchach, giętkiej i smukłej jak trzcina postaci, o miłym barytonowym głosie. Zawsze na scenie w tym samym kostiumie czerwonego pierrota, w czerwonej masce. Jego białe, rasowe palce przebiegały szybko po strunach gitary, dobierając dźwięczną, lekką jak pianka szampana, melodię dla drwiącej piosenki. Ten tajemniczy człowiek nie posiadał w sobie nic z tej szminki i trywialności, jaka cechuje komików kabaretowych. Publiczność uwielbiała czerwonego błazna, umiał on ją do łez rozśmieszyć, pobudzić do homerycznych wybuchów śmiechu tak, że nie pozwalano mu zejść ze sceny, zmuszając burzą oklasków do ciągłych naddatków. Bały się czerwonego błazna jak ognia wszystkie nadęte figury, rozmaitego kalibru dygnitarze-głupcy, których nielitościwie wyśmiewał. Niejednej sztucznej wielkości czerwony błazen zatrul życie, niejednemu pokrzyżował jego

wysoko ambitne plany, niejednego karierowicza pogrzebał. Piosenka czerwonego błazna nie pozostawała nigdy w murach sali *Złotego Ptaka*, wędrowała ona z tej białej sali do miasta, a stąd do poczekalni i biur ministerialnych, do domów prywatnych, do kawiarni; dla jednych szatańsko wesoła, dla drugich dokuczliwa, natrętna jak osa.

Tajemnice gabinetów ministerialnych, buduarów modnych kokot, dyskretne ploteczki dobroczynnych rautów i balów w salonach wysokiej arystokracji, wszystko to przedostawało się jakimś dziwnym trafem do ucha czerwonego błazna i padało pastwą satyry i śmiechu na estradzie *Złotego Ptaka*.

Powoli zaczęła już urabiać się w mieście pogłoska, że czerwony błazen obdarzony jest darem nadzwyczajnej przenikliwości, że jego wzrok przebija powłokę ludzką, odczytuje tajniki duszy i mózgow, przenika ściany i mury.

Czerwony błazen przemienił *Złotego Ptaka*, który przed kilku jeszcze tygodniami świecił pustką, w najpopularniejszy i najbardziej uczęszczany kabaret stolicy. Dyrektor kabaretu, Wilhelm Metzner, żałował szczerze, że ścian widowni nie może rozszerzyć, podwoić lub potroić ilości miejsc. Czerwony błazen „robił kasę”. I pomimo, że dyrekcja potroiła ceny miejsc, niezrażona tym publiczność bezustannie szeroką strugą płynęła do kabaretu.

I dziś, stojąc obok żelaznych drzwi, prowadzących za kulisy, gruby dyrektor Metzner aż zacierał z uciechy ręce.

— A co, udał się nam hazard? — spytał Metzner kulawego inspicjenta Gładysza.

— Pewno, że się udał — odpowiedział Gładysz, wykrzywiając swoją nabrzętką, jakby ulaną z szarej gutaperki twarz, w jakiś wesoły grymas.

— A dałeś, stary Otello, czerwonemu błaznowi kopertę z pieniędzmi? — spytał Metzner.

Gładysz skinął twierdząco głową, nie odrywając oczu od długiej kolejki publiczności, która uformowała się przed kasą.

Gładysz od lat całych znany był za kulisami pod nazwą *Otello*. Przydomek ten zawierał krótką, ale bolesną tragedię życia tego śmiesznego o nabrzęklej twarzy kulasa.

Lat temu dziesięć, czy piętnaście – terminu z pewnością i sam Gładysz nie byłby w stanie ustalić – Gładysz nie był ani obrzękły, ani kulawy. Wtedy był on doskonałym żonglerem i gimnastykiem, a jego produkcje na linie stanowiły szlagier programów rozmaitych variétés. W czasie najwyższego rozkwitu talentu swych mięśni, Gładysz zakochał się w swej koleżance, młodej, ładnej śpiewaczce kabaretowej. Wkrótce ożenił się z nią.

Po kilku latach stało się to, co zawsze w tej sferze ludzi się zdarza. Mery zaczęła go zdradzać z jakimś bogatym bankierem, nałogowym bywalcem w świecie kulis. Gładysz nie dowierzał plotkom ani docinkom, wierzył święcie w cnotę i wierność żony. Przypadek, ten najlepszy detektyw, naprowadził go dopiero na ślad wiarołomstwa. Łagodny Gładysz po odkryciu przemienił się w szakala. Jednym celnym strzałem zabił żonę, a sam z emocji omdlał – dzięki temu kochanek Mery uszedł karze. Sąd uwolnił Gładysza. Myśl jednak o Mery i zbrodni przegryzała Gładyszowi duszę i mózg jak ostra paląca trucizna. Zaczął pić na umór. Coraz bardziej tracił pewność swych mięśni, coraz niżej schodził pod względem wartości swych produkcji. Raz w trzeciorzędnym teatryku w czasie przedstawienia *Otello* pijany spadł z liny i złamał nogę. W szpitalu nogę źle złożono, *Otello* okulał.

Metzner znał *Otella* jeszcze z czasów jego świetności, dał kalece z łaski stanowisko inspicjenta w *Złotym Ptaku*. *Otello* stał się wkrótce prawą ręką i generalnym pomocnikiem Metznera, i cieszył się jego nieograniczonym zaufaniem, a tylko ciągły, niesłabnący pociąg *Otella* do kieliszka klócił od czasu do czasu harmonię między nim a szefem. Za to Gładysz odczuwał w całej pełni łaskę Metznera i starał się mu odwdziżyć psią wprost wiernością i uczciwością.

Widownia *Złotego Ptaka* wypełniona już była po brzegi, choć dziesięć minut brakowało do uderzenia gongu i rozpoczęcia przedstawienia. Otello zaczął wdrapywać się na schody pierwszego balkonu, by skontrolować pracę bileterów, a Metzner już chciał zniknąć za żelaznymi drzwiami kulis, gdy schwycił go za rękę doktor Reski, bardzo wzięty i znany w stolicy lekarz i niemniej znany bywalec teatrzyków warszawskich, adorator wszystkich śpiewaczek i tancerek bez względu na ich urodę i wiek.

— Weźcie mnie ze sobą, dyrektorze — prosił Reski — mam ważny interes do Zośki Kłobuckiej, a ona rozpoczyna program.

— Dla pana wszystko, ale teraz nie mogę... pan wie... czerwony błazen... stanowczo zakazał obcych wpuszczać za kulisy. Nie mogę, doktorze — usprawiedliwiał się Metzner i bezradnie rozłożył swoje grube, jak kraglaki, ramiona.

— Fabrykujesz pan, dyrektorze, sensację z czerwonym błaznem. Wy doskonale wiecie, kim jest ten nicpoń. Tajemnicą robicie kasę i łapiecie na tę wędkę głupią publiczność.

— Pod słowem, doktorze, nie wiem, kim on jest.

— Jakżeż go pan więc u licha angażował?

— Może to nieprawdopodobne, ale pod słowem honoru, doktorze, prawdziwe. Dwa tygodnie temu, w czasie południowej próby, przykuszykał do mnie Gładysz. Z tajemniczą miną powiedział mi, że w mojej poczekalni czeka jakiś dobrze ubrany człowiek z czarną maską na twarzy i chce koniecznie kilka słów ze mną pomówić. Początkowo sądziłem, że Gładysz po pijanemu bredzi, ale gdy spostrzegłem, że Otello jest najzupełniej trzeźwy, zszedłem do gabinetu obejrzeć tego wariata w masce. Przyznać muszę, że głupio zrobiło mi się na duszy, gdy znalazłem się z nim sam na sam w gabinecie.

Pan w masce z miejsca przystąpił do interesu. Oświadczył mi, że ma piękny barytonowy głos, że zna cały szereg aktualnych piosenek, siadł do fortepianu, sam sobie akompaniował, odśpiewał mi kilka pieśni – byłem zachwycony. Wyjąłem blankiet kontraktu i natychmiast chciałem go angażować. Tajemniczy człowiek postawił mi jednak tak dziwne warunki, że na zwykłym blankiecie kontraktowym nie mogłem ich spisać. Najpierw żądał, by nikt nigdy nie pytał go o nazwisko, by nikt z personelu go nie śledził, nie podpatrywał, ani nie starał się dojść, kim on jest. W razie, gdyby ten punkt umowy został złamany, tajemniczy człowiek oświadczył, że bezzwłocznie zerwie kontrakt. Dalej żądał, bym przyjął na siebie gwarancję, że nikt obcy nie przedostanie się za kulisy. Za pierwszy występ pan w masce nic nie żądał, za każdy jednak następny żądał olbrzymiej sumy, bo pięćset złotych od występu. Zgodziłem się na te ciężkie i oryginalne warunki. W końcu kazał mi jeszcze oprowadzić się po garderobach. W każdej garderobie badał grubość ścian, szczelność drzwi, zamki, wreszcie, po długim namyśle, wybrał sobie garderobę numer trzy, pan zna ją, panie doktorze – tuż obok składu starych dekoracji i rekwizytorni.

Od czasu podpisania tej dziwnej umowy czerwony błazen zjawia się podobno punktualnie na pół godziny przed zaczęciem przedstawienia. Nikt nie wie, którą bramą i którymi drzwiami wchodzi, dość, że na czas jest w garderobie i nikt również nie wie, w jaki sposób czerwony błazen z teatru wychodzi... Dziwny człowiek.

...No powiedz pan, panie doktorze, czy mogę łamać kontrakt, gdy ten człowiek ściąga mi do *Złotego Ptaka* tyle publiczności, że aż ściany się pocą?

Doktor Reski nie zdążył odpowiedzieć, bo do dyrektora zbliżył się w tej chwili jeden z bileterów i zawiadomił go, że redaktor jakiegoś poczytnego pisma chce wejść na salę, ale brakło miejsc.

Metzner przeprosił doktora i szybko oddalił się z bileterem w kierunku kas.

Doktor Reski chwilę stał, jakby czekając, aż obydwaj znikną mu z oczu, rozejrzał się

nerwowo wokoło i nagle jak strzała znikł za zielonymi, żelaznymi drzwiami prowadzącymi za kulisy...

II

KAPRYS PIĘKNEJ PANI

Wieczór u państwa Kleskich doszedł właśnie do najwyższego napięcia humoru i zabawy, choć początkowo wcale świetnie się nie zapowiadał.

Z odjazdem jednak kilku figur reprezentacyjnych ze świata dyplomatycznego, wysokiej arystokracji i najwyższego szczebla hierarchii urzędniczej lodowaty nastrój zaczął topnieć i około północy zabawa potoczyła się już na dobre. Właściwy nerw drgnął jednak dopiero wtedy, gdy służba kilkakrotnie napełniła bakaratowe tulipany francuskim winem szampańskim i gdy orkiestra zagrała pierwsze shimmy. Szampan, murzyński jazz-band, nagie ramiona i plecy niebrzydkich kobiet, dziwny krok półdzikiego shimmy i jawy wywołały wreszcie ten nastrój wewnętrznego szału, który wtłoczony w ramy dobrego tonu, tym więcej jest oszalamiający i ponętny.

Była godzina trzecia po północy, gdy pani Halina Mertinger, żona znanego na warszawskim bruku bankiera, zamierzała już wycofać się z tłoku tańczących i choć przez chwilę odetchnąć chłodniejszym powietrzem.

W salonie było gorąco i duszno. Pani Halina czuła się znużona. Postanowiła więcej nie tańczyć, najpierw dlatego, że bała się w tej temperaturze o całość swej misternie zaondulowanej fryzury, dalej dlatego, że ostatnie chwile zabawy chciała poświęcić emocjonującej rozmowie z Wikiem Skarskim. Wiedziała dobrze, że teraz, tu, na tej zabawie, Wik musi być sobą, że przestanie raz wreszcie grać nieznośną komedię, że powie jej wszystko, co dotąd ukrywał pod maską ironii, obojętności i cynicznego dowcipu. Pani Halina wiedziała doskonale, że przed chwilą mocno szarpnęła nerwami Wika. Była przecież dziś wyjątkowo piękna i umiała doskonale uderzyć w tkliwą u młodego Skarskiego strunę – w... zazdrość. Komedię „del arte” z prokuratorem Glińskim odegrała wprost znakomicie, bez zająknięcia. Czuła, że Wik tracił równowagę i panowanie nad sobą, że w szybkim tempie zmuszony teraz będzie uderzyć w obawie, by Gliński go nie ubiegł...

Wspomnienie flirtu z Glińskim i widoku człowieka poważnego, znanego ze swej bystrości i zdolności prokuratorskich, który szedł na tak prymitywnie fałszywą przynętę, tak rozbawiły panią Halinę, że mimo woli uśmiechnęła się sama do siebie. Zaczęła szukać strusiego pióra – wachlarza. Młody Skarski błyskawicznie przebiegł salę, znalazł się tuż koło niej.

— Pani czegoś szuka?

— Tak, wachlarza. Już późno i chcę zniknąć po angielsku. Pocziwy Gliński obiecał odwiedzić mnie do domu... Niech mu pan powie, że zaraz będę w garderobie...

— Doskonale, w tej chwili odszukam najnowszą ofiarę pani, ale, bym nie miał wrażenia, że jestem służącym i spełniam bezapelacyjnie pani rozkazy, może odszukamy go razem.

Wik podał ramię pani Halinie. Przeszli do ogrodu zimowego.

Piękna pani czuła, że ramię jej towarzysza drży nerwowo. Usiedli w wygodnych fotelach, wyłożonych poduszkami. Olbrzymia lampa rzuciła pomarańczowe światło na ogród, dodając jakiejś tajemniczości palmom o grubych, włochatych pniach i szerokich mięsistych liściach.

Pani Halina odrzuciła w tył głowę, przymknęła powieki i nadała swej twarzy wyraz rozkosznego zmęczenia. Była piękna. Błada twarz o regularnych, jak gdyby kutych misternym dłutem w alabastrze rysach, w aureoli ciemno blond włosów, upodabniała ją do mistycznej bogini greckiej. Smukła, biała szyja, nagie ramiona i głęboki dekolcie odcinały się wyzywająco od czarnej dzetowej sukni, która w świetle pomarańczowej amplii mieniła się taką tęczą barw i kolorów jak ciemna, drżąca toń wody w świetle jasnego księżyca.

Siwe oczy Wika ślizgały się po pani Hali. Długo zatrzymywały się na jej ciemnozłotych włosach, na czerwonych, mięsistych, małych ustach i na głębokim dekolcie. Zdawało się, że oczy Wika chcą przebić jedwab jej sukni, że w myślach odrysowuje sobie kształty jej ciała. Twarz zaczęła mu drgać nerwowo, rasowe nozdrza nierównomiernie wachlowały...

Kłopotliwą ciszę przerwała pani Hala.

— Prawdopodobnie Gliński nas znajdzie, bo trudniej byłoby nam go znaleźć...

— Pani Halo, na co pani w tej chwili Gliński? Dlaczego zakłóca pani ten cichy moment, na który tak dawno czekałem?

— Gliński jest mi bardzo potrzebny. Ma mi zastąpić opiekę męża, który jak pan wie, ucieka zawsze z towarzystwa, w którym mnie spodziewa się spotkać.

— Więc Gliński ma otrzymać pełnomocnictwo zastąpienia męża?... Ciekaw tylko jestem, czy pełnomocnictwo ograniczy mu pani tylko do odwiezienia do domu?...

— Sam pan wie, że tylko od mężczyzny zależy rozległość otrzymanego od kobiety pełnomocnictwa – jeden potrafi wywalczyć sobie u nas, słabych istot, generalne pełnomocnictwo – drugi tylko prawo odwiezienia do domu.

— A Gliński?

— Jeszcze nie zdążył walczyć.

— Czy bardzo pani ciekawa, jakimi sposobami Gliński będzie walczył?

— Trochę.

— Czy ciekawość pani nie byłaby na przykład większa, gdybym tak ja zamiast Glińskiego rozpoczął tę walkę?...

— Jak to pan, panie Wiku? Nie dawniej, jak na balu u Zubrzyckich wręcz mi pan oświadczył, że ani odrobiny trudu nie poświęciłby pan dla zdobycia kobiety, bo za wiele jest kobiet, które same trud zdobycia mężczyzny podejmują...

— Tak, powiedziałem to, ale dla zdobycia pani zdolny byłbym do wielkiego wysiłku – ale tylko dla zdobycia pani...

— Czy to nie chwilowy nastrój dzisiejszego wieczoru. A może zbyt wiele szampana wywołało ten nadmiar energii? Ha, ha, ha, pan i poświęcenie, trud i wysiłek.. ha, ha, ha, to zabawne...

— Śmieje się pani, a może właśnie ja, ja z pozoru wygodny, byłbym zdolny do takich ofiar, jak nikt inny, może nawet większych jak Gliński. Niech się pani nie śmieje, ale dziś postanawiam, że muszę zdobyć panią, choćby nie wiem jakim ogromem ofiar i trudu. Muszę!... Niech pani żąda ode mnie, co pani kaprys podyktuje, a przysięgam, że spełnię...

Pani Hala roześmiała się szelmowsko, pokazując przez rozchylone drobne usta cały rząd ostrych, białych zębów, potem przez chwilę myślała.

— A więc dobrze – początkowo żądam drobiazgu – dowie się pan na przykład jutro, kim jest ten, który taką sensację robi w Warszawie, kim jest ten, no... czerwony błazen...

— Dobrze, jutro się dowiem, a w środę w południe u Loursa powiem pani jego nazwisko. Dla nasilenia jednak mojej energii w prowadzeniu śledztwa dla kaprysu pani proszę o małą dawkę haszyszu.

Pani Hala przykryła oczy długą smugą rzęs.

Wik jak oszalały chwycił ją w ramiona, wpił się ustami w jej usta.
Pani Hala przemocą wyrwała się z jego żelaznych, młodych ramion.
W drzwiach ogrodu zimowego zobaczyli prokuratora Glińskiego.
Możliwe, iż słyszał całą ich rozmowę...

III

PRZERAŻENIE

Wik Skarski siedział w swojej garsonierze w głębokim fotelu i właśnie dopijał szklanek herbaty, gdy wszedł jego brat Józef. Wik z wielkim szacunkiem, nawet z pietyzmem, odnosił się do starszego brata. Józef Skarski był właściwie głową rodziny. Po śmierci rodziców Józef, borykając się ciężko z trudnościami finansowymi, wychowywał Wika i młodszą od niego o lat pięć siostrę Wandę. Jedyne dzięki pracy i energii Józefa, Wik ukończył gimnazjum i studia prawnicze, również dzięki pomocy Józefa Wik cały rok mógł spędzić w Paryżu w Ecole des Sciences Politiques. Własnym zaś zdolnościom i umiejętności obcowania z ludźmi zawdzięczał młodszy Skarski, że już w dwudziestym szóstym roku życia osiągnął poważne stanowisko w ministerstwie spraw zagranicznych, że liczone się tam z jego zdaniem, a swój wpływ potrafił wywrzeć nawet i na osobie ministra. W biurze lubiano go, ceniono i poważano.

Trudne warunki, w jakich Wik się wychowywał, nie potrafiły jednak wyrwać z jego usposobienia dużej dozy lekkomyślności, atawistycznej wady rodziny Skarskich. Chociaż Wik zdawał sobie sprawę z tego, że kieszeń Józefa jest bardzo szczupła, to nie dawniej jak trzy miesiące temu przegrał w Klubie Myśliwskim poważną kwotę, którą oczywiście spłacił Józef pożyczkami wekslowymi i zaliczkami z firmy Hellman & Robert, w której od szeregu lat zajmował stanowisko administratora. Wik z lekkim sumieniem zrzucił na głowę brata troskę o środki pieniężne, których sporo wymagała już sama jego służba ministerialna. W zamian za to w duszy i sercu Wika powstał pewien kult, pietyzm i podziw dla Józefa, który z żelaznym uporem i konsekwencją starał się z niego zrobić *wielkiego człowieka*.

Nie tylko w usposobieniu, ale i w wyglądzie zewnętrznym obu braci diametralne zachodziły różnice. Wik był pięknym, smukłym, młodym chłopcem, lekkomyślność i wrażliwość malowały się tak silnie na jego twarzy, że te dwie słabe strony jego charakteru mógł odgadnąć każdy, kto chwil kilka obserwował go. Józef był przeciwieństwem młodszego brata, nie mniej przystojny od niego, tylko szron wybielił już silnie jego skronie. W twarzy Józefa malowała się nieskończona dobroć, pobłażliwość dla ludzkich błędów, po prostu kobieca słodycz, a równocześnie jednak upór i energia. Józef poświęcił się dla rodzeństwa. Przez całe życie nie miał on odrobiny czasu dla troski o własny los. Został starym kawalerem. Każdy jego zarobek szedł na potrzeby młodszego rodzeństwa. Wik był jednak jego dumą, jego chlubą. Józef wierzył w olbrzymie zdolności brata, wierzył w to, że Wik nie będzie przeciętnym człowiekiem. I teraz, rozmawiając z nim, oczy Józefa pełne były radości i wewnętrznego zadowolenia.

— Widocznie doskonale bawiłeś się u Kleskich, jeśli dopiero rano wróciłeś do domu.

— Iii, skrzywił się Wik, musiałem Mertingerową odwiedzić do domu.

— Znając ją z widzenia, sądzę, że nie sprawiło ci to wielkiej przykrości.

Wik znów się skrzywił – dziś nie był w dobrym humorze.

Rozmowa między braćmi przeszła z Mertingerowej na ludzi, z którymi Wik spotkał się i rozmawiał na wczorajszym raucie. Młody Skarski coraz bardziej ożywił się, opowiedział bratu kilka facecji biurowych, kilka dowcipnych fragmentów z wczorajszych rozmów. Józef lubił

słuchać brata, podziwiał dar jego błyskotliwego opowiadania, jego zmysł spostrzegawczy i ostrą ironię.

Dochodziła szósta wieczorem, gdy Wik zwierzył się bratu, iż miałby wielką ochotę przyjąć oferowaną mu placówkę zagraniczną, na której jako konsul zdołałby wykazać swe zdolności, niestety brak potrzebnych do tego prywatnych funduszy staje mu na przeszkodzie w przyjęciu tego stanowiska.

Józef sposepniał. Zwierzenie Wika było mu przykre, nie chciał rozstawać się z bratem. Wiedział doskonale, że jak długo Wik jest pod jego wpływem, musi lekkomyślność swą poskramiać – gdy znajdzie się poza sferą tych wpływów, to kto wie, na jakie bocznicę zjechać może.. Poza tym Józef kochał brata, myśl o rozstaniu była mu przykra. Długo też milczał po wyznaniu Wika, wreszcie z ciężkim westchnieniem powiedział:

— Ha, trudno jeśli wyjazd twój jest dla kariery istotnie potrzebny, to jedź w imię Boże. Jeśli pieniądze znalazły się na pokrycie długów karcianych, to znajdą się i na ten cel.

Wik nie zauważył wzruszenia, wyciągnął do brata rękę, dziękując serdecznie za znów okazaną pomoc.

Zaledwie Józef wyszedł z pokoju, Wik szybko zaczął się ubierać. Dochodziła siódma. Przypomniał sobie wczorajszą obietnicę daną pani Hali. Wstąpiła weń niezwykła energia.

— Muszę się dowiedzieć, jak nazywa się ten głupi kłown. Licho wie, o której przedstawienie w tym bałaganie się zaczyna... — powtarzał Wik z uporem.

Zaledwie wyszedł na ulicę, drobny zmarznięty śnieg uderzył go jak ostry śrut po twarzy. Chcąc iść dalej, musiał Skarski zasłonić twarz fokowym kołnierzem palta.

Najpierw skierował swe kroki ku placowi Trzech Krzyży – wiedział, iż tam znajdzie słup lub tablicę reklamową i dowie się, kiedy rozpoczyna się program w *Złotym Ptaku*. Nie mylił się, na każdym słupie reklamowym widniała podłużna czerwona kartka z krzyczącym napisem:

Dziś występ czerwonego błazna w kabarecie

Złoty Ptak

początek o godzinie ósmej.

Skierował swe kroki ku Marszałkowskiej. W myślach Skarskiego przebiegały, jak spiesznie puszczonego film kinematograficzny, obrazy wczorajszego wieczoru u Kleskich. Dłużej zatrzymał go obraz pani Hali, jej białe jak z marmuru ramiona, jej kształtny biust i ta piękna twarz z wyrazem zmęczenia. Teraz jeszcze czuł Skarski na swych ustach żar jej pocałunku, ulica zawirowała mu w głowie. Będzie moją kochanką, będzie, musi nią być! — powtarzał z uporem. Naraz przypomniał sobie zimne, stalowe oczy prokuratora Glińskiego, tliły w nich ogniki ironii i wyraźnej nienawiści. Wik wzdrygnął się na to wspomnienie, jakby ktoś dotknął jego piersi zimnym kawałkiem lodu.

Zanadto wielkim jest jednak gentlemanem, by doniósł staremu Mertingerowi o wszystkim — myślał Wik — ale czy słyszał, cośmy o nim mówili? — martwił się dalej.

Na Marszałkowskiej Wik przestał się już martwić Glińskim, wsiadł w dorożkę i kazał się

wieźć do *Złotego Ptaka*. Plan zdobycia nazwiska czerwonego błazna przedstawiał się prosto i jasno, da służącemu lub maszyniście kilka złotych, by wpuścił go za kulisy, potem wsunie jakąś kwotę inspicjentowi i albo ten mu powie, jak ten „czerwony idiota” się nazywa, albo po prostu zaczai się za kulisami i będzie czekał, aż czerwony błazen opuści garderobę, będzie go tropił na ulicy aż od mieszkania i dozorcę zapyta o nazwisko.

Początkowo plan wydał mu się prosty i łatwy, im bardziej jednak dorożka zbliżała się do *Złotego Ptaka*, tym silniej Skarski kłął swój plan i całą awanturę.

Szczęście jednak sprzyjało mu. Zaledwie dorożka zatrzymała się przed barokowym, rześcicie oświetlonym kabaretem, Wik ujrzał przed boczną bramą swego dawnego chłopca biurowego w czapce z napisem *Złoty Ptak*. Skarski wysiadł z dorożki i bezzwłocznie udał się w kierunku bocznej bramy.

Stanisław ucieszył się bardzo na widok swego dawnego przełożonego.

— Pan do nas naśmiać się z czerwonego błazna?

— Nie — krótko odpowiedział Skarski — ale może byście mi Stanisławie powiedzieli, jak się nazywa ten wasz czerwony błazen i gdzie mieszka?

— Dalibóg, wielmożny panie, nie wiem. Ponoć i dyrektor i rządca nie wiedzą.

Skarski wsunął Stanisławowi w rękę pięć złotych i paczkę papierosów, prosząc go, by jakoś sprytnie przesmuglował go za kulisy.

Stanisław długo drapał się w głowę, długo obracał w ręce paczkę *Klubów* zanim przemówił:

— Proszę pana, to bardzo trudna sprawa. Jest bardzo ostry rozkaz nikogo nie wpuszczać, ale czego ja bym dla pana radcy dobrodzieja nie zrobił, tylko jakby radcę ten, tego, złapali, to ani słóweczka o tym, że to ja niby radcę szmuglował, zgoda?

— Zgoda.

Stanisław przeprowadził Skarskiego przez bramę sąsiedniego domu na jakieś ciemne podwórze, stąd furtką na drugie podwórze, wreszcie wzdłuż jakichś stajni przedostali się do bocznej ściany *Złotego Ptaka*. Stanisław wskazał Wikowi jakieś małe drzwi.

— Tu, radcuniu, poczekajcie przed tymi drzwiami, aż wam otworzę z drugiej strony. Ino papierusa nie palcie — powiedział Stanisław i znikł gdzieś w ciemnościach podwórka.

Skarskiemu chwile oczekiwania niezmiernie się dłużyły. Zadyмка nie zelżała, drobny, ostry śnieg siekł mu boleśnie twarz, przez szalowy kołnierz śnieg przedostawał się aż na gors koszuli, topniał, wywołując niemiłe uczucie zimna i wilgoci. Skarski kłął na czym świat stoi całą awanturę.

Po upływie pół godziny drzwi wreszcie cicho się otwały i ukazała się w nich głowa Stanisława.

— Prędziutko, radcuniu, bo będzie wsypa!...

Skarski szybko przekroczył próg, przedostał się przy pomocy Stanisława na jakiś korytarz oświetlony małą, zapyloną, odrutowaną żarówką. Szybko przeszli korytarz. Stanisław pchnął małe, sukнем obite drzwi wahadłowe i przeprowadził Skarskiego za kulisy.

— Tu za tymi starymi dekoracjami niech radcuś czekają, tu jest garderoba numer trzy, zaraz czerwony błazen przyjdzie, tylko laboga radcuniu, aby na was nasz kulawy rządca nie nadepnął... byłby młyn, aż niu...

Skarski wcisnął się w bardzo niewygodny ką. Plecami dotykał jakichś starych dekoracji, które za lada jego poruszeniem chwiały się, grożąc upadkiem. Wik podparł je ręką. Zza ściany dochodził do uszu Skarskiego dźwięk marsza. Słyszał oklaski publiczności. Przedstawienie widocznie już się rozpoczęło. Za kulisami panowała zupełna cisza. Skarski bał się patrzeć na zegarek, by jakimś niezręcznym ruchem nie trącić dekoracji i nie zdradzić swej kryjówki. Czas

oczekiwania dłużył mu się strasznie, nogi mu zdrętwiały, z kołnierza palta spływały strugi stopionego śniegu na koszulę. Naraz Skarski drgnął, usłyszał obok siebie czyjeś kroki. Jakiś mężczyzna wysoki, szczupły, z wysoko podniesionym kołnierzem palta, w czarnym kapeluszu głęboko nasuniętym na oczy i w czarnej masce na twarzy szybko przeszedł obok niego i znikł za drzwiami garderoby numer trzy. Skarski wyczekał chwilę i wreszcie cicho na palcach zbliżył się do drzwi garderoby. Z niezwykłą ostrożnością ośmielił się Wik nacisnąć klamkę, bez szelestu uchylił drzwi i wejrzał do wnętrza. Zaledwie jednak spojrzął, cofnął się błyskawicznie i blady z przerażenia jak ściana, zaczął uciekać w kierunku drzwi wahadłowych i korytarza. Wpadł na ciemne podwórze i biegł jak oszalały na ulicę. O kilkanaście kroków za nim biegł wysoki szczupły mężczyzna z czarną maską na twarzy.

IV

MORDERSTWO

Rozległ się ostry dźwięk dzwonka, zapowiedź końca antraktu. Publiczność szybko opuszczała foyer *Złotego Ptaka*, tłocząc się do wejść na widownię. Nastroj podniecenia stawał się coraz silniejszy i nie dziw, bo drugą część programu rozpoczynał występ czerwonego błazna. Publiczność z niecierpliwością czekała, kogo dziś na ostrze swego języka weźmie doskonały satyryk, kogo dziś wykpi, wyśmieje i zdemaskuje. Starzy bywalcy kabaretu i adoratorzy czerwonego błazna nie mogli doczekać się chwili uderzenia gongu i przyćmienia światła.

Gong wreszcie odezwał się, światła pogasły. Orkiestra rozpoczęła pianissimo walca z Fausta.

Zasłona z czarnego weluru ze srebrnymi naszytymi maskami drgnęła nerwowo i powoli, miarowo zaczęła rozsuwać się ku bocznym ścianom sceny.

Już sama dekoracja sceny wywołała zachwyt publiczności. Krajobraz Warszawy w nocy z ciemną wstęgą Wisły, w której łamało się światło księżycy i tysiąc świateł z okien domów na Pradze.

Orkiestra skończyła walca. Czerwony błazen jednak nie wychodził. Po chwili orkiestra powtórzyła walca, jakby usprawiedliwiając opóźnienie.

Czerwony błazen znowu nie wychodził.

Między publicznością poczęto dziwnie szeptać, wywołując konsternację.

Coś się musiało stać!...

Niepokój rósł coraz bardziej. W ciemnej widowni głowy ludzkie pochylały się coraz bardziej ku sobie, podając szeptem wiadomość o jakimś nieszczęściu, które rzekomo spotkało czerwonego błazna. Upragniony komik jeszcze nie wychodził.

Nagle przysł czar dekoracji. Na scenie zajaśniały pełnym światłem wszystkie lampy. Chwiejnym krokiem, błądzący jak ściana wyszedł przed budkę suflera dyrektor Metzner. Drżącym głosem, zwracając się do publiczności, powiedział tych kilka słów:

— Szanowni państwo! Czerwony błazen nie może dziś wystąpić. Nieszczęście nagłe i niespodziane dotknęło nasze przedsiębiorstwo; nieszczęście, którego szczegółów na razie podać nie mogę. Zmuszeni jesteśmy w tej chwili przerwać przedstawienie. Pieniądze za bilety zwróci nasza kasa. Przypuszczam, że nieszczęście, które nas dotknęło, znajdzie należyte odczucie i dzisiejsze przerwane przedstawienie nie zakłóci tej harmonii, jaka zawsze panowała między dyrekcją naszego przedsiębiorstwa, a publicznością.

Po tych słowach Metznera zabłysły na widowni światła. Publiczność zaczęła cisnąć się do szatni, czarna welurowa kurtyna powoli się zasuwawała.

W przechodzie wypytywano bileterów: — co za nieszczęście się wydarzyło?

Otrzymało krótką, suchą odpowiedź — podobno zamordowano czerwonego błazna.

— Kto zamordował?

— Nie wiadomo.

Przez szeroko otwarte drzwi wchodowe gęstą strugą płynęła publiczność na zaśnieżoną

ulicę, podając sobie wzajemnie coraz straszniejsze i nieprawdopodobniejsze wiadomości o morderstwie.

* * *

Za kulisami wrzało. Przed garderobą numer 3 zebrał się tłum artystów i artystek, jedni ucharakteryzowani, bo zaraz po występie czerwonego błazna mieli wyjść na scenę, drudzy rozcharakteryzowani, do połowy tylko ubrani, co odbyli już swoją pańszczyznę. Jakiś artysta w kostiumie arlekina starał się przez dziurkę od klucza zajrzeć do wnętrza garderoby czerwonego błazna, ciekawości jednak nie mógł zaspokoić, bo światło wewnątrz było zgaszone.

Z niecierpliwością oczekiwał tłum na przybycie Metznera. Dyrektor poszedł zawiadomić policję o niezwykłym wypadku, i klucz od garderoby zabrał ze sobą. Czas oczekiwania skracali sobie artyści wygłaszaniem rozmaitych przypuszczeń i podejrzeń na tle zagadkowego morderstwa. Wreszcie w drzwiach od strony widowni ukazał się Metzner w towarzystwie komisarza policji Borewicza i kilku agentów. Borewicz rozpoczął natychmiast śledztwo.

— Panie dyrektorze, czy od chwili morderstwa, nikt nie mógł opuścić kulis teatru?

Wysunął się Gładysz. Jego gutaperkowa twarz z przerażenia, nabrała jakiegoś brudnozielonego koloru, jak woda w dawno nieczyszczonym stawie. Szczęk nie mógł Gładysz utrzymać w spokoju, zęby uderzały silnie o zęby.

— To ja właśnie pierwszy zauważyłem... Za pięć minut miał wyjść na scenę. Dzwonię raz, nic, drugi raz – nic, nie wychodzi z garderoby. Poszedłem pod drzwi, słucham... cicho. Otwieram delikatnie drzwi zobaczyłem nieszczęście, leży trup, pełno krwi na podłodze... Zaraz zamknąłem drzwi garderoby na klucz i pobiegłem do pana Metznera. Obaj weszliśmy do garderoby. Widzimy: trup. Kazałem zaraz wszystkie wyjścia zamknąć, aby nikt nie mógł uciec. Myślałem, że w ten sposób najlepiej schwytemy mordercę. Cały personel techniczny jest, artyści są, a nikt obcy tu nie wchodził, tego pilnowaliśmy bardzo...

Komisarz Borewicz zażądał otwarcia drzwi do garderoby, równocześnie zaś zabronił komukolwiek oprócz Metznera i Gładysza wejść do wnętrza.

Metzner próbował włożyć klucz do zamka, lecz ręce tak mu się trzęsły, że do otworu w żaden sposób trafić nie mógł. Wyręczył go jeden z agentów policyjnych.

Weszli do wnętrza garderoby, zapalili światło – oczom ich przedstawił się straszny widok...

Na ziemi, w szerokiej kałuży, już z lekka skrzepłej krwi, leżał mężczyzna lat około pięćdziesięciu, łysy, z resztkami siwych włosów na skroniach. W piersiach zamordowanego tkwił olbrzymi, długi kindżał kaukaski wbity z taką siłą w pierś, że przeszył zupełnie ciało, a ostry jego koniec tkwił mocno w podłodze. Zabity ubrany był w drogocenne futro bobrowe – obok na stole leżał twardy kapelusz.

Komisarz pochylił się nad zwłokami i zaczął je szczegółowo badać. Bezpośrednią przyczyną śmierci było bezwątpienia pchnięcie kindżałem, który przebił mięsień sercowy. Na twarzy zmarłego było kilka świeżych blizn, pochodzących jakby od silnego drapania paznokciami. Jedno drapanie skaleczyło mocno powiekę. Na rękach zmarłego znać było również kilka ran. Widocznie denat przed śmiercią stoczył z mordercą zaciekłą walkę. Jedno krzesło w garderobie było przewrócone – również znak walki przedśmiernej. Na drugim krześle, obok lustra, leżało w największym porządku poskładane czerwone, jedwabne domino pierrota i czerwona maska – strój czerwonego błazna.

Komisarz Borewicz kazał przywołać agentów i wydał im krótkie rozkazy.

— Pan, panie Małkowski, przeprowadzi dokładne badanie w garderobie, zwróci pan specjalną uwagę na ślady palców na poszczególnych przedmiotach, a zwłaszcza na przewróconym krześle i na rękojeści kindżału. Niech pan również nie zapomina o kłamce. Trzech innych panów przeprowadzi badania poza garderobą i proszę bardzo, nikogo pod żadnym warunkiem nie wypuszczać z gmachu.

Agent Małkowski wyjął z kieszeni jakiś płyn, proszek i pędzelek, i rozpoczął badania daktyloskopijne. Metzner i Gładysz stali bezradni, w oczach ich malowała się jeszcze ciągle trwoga.

Komisarz Borewicz pochylił się jeszcze raz nad zmarłym, zaczął obszukiwać jego kieszenie. W kieszeniach ubrania i futra nie znalazł nic. Zmarły został widocznie doszczętnie obrabowany, bo nawet brak było chustki do nosa.

Po zbadaniu zawartości kieszeni zabitego komisarz Borewicz rozpoczął śledztwo.

Przesłuchano najpierw dyrektora *Złotego Ptaka*.

— Więc zabity — spytał komisarz policji Metznera — należał do składu artystów pańskiego teatru i występował jako czerwony błazen.

— Tego, panie komisarzu, stanowczo stwierdzić nie mogę.

— Jak to? Więc, czy zabity jest czerwonym błaznem, czy też nie?

— Nie wiem, panie komisarzu, ponieważ nigdy twarzy czerwonego błazna na oczy nie widziałem.

— Nie rozumiem...

Dyrektor Metzner opowiedział w jak oryginalny sposób angażował czerwonego błazna i jak bardzo ten tajemniczy człowiek dbał o swoje incognito.

Po wyjaśnieniu Metznera twarz komisarza Borewicza wyrażała silne zakłopotanie.

— Wypadek rzeczywiście szczególny. Równie więc dobrze pańskim zdaniem, panie Metzner, czerwony błazen może być zamordowanym jak i mordercą, czy tak?

— Tak.

Gładysz niewiele więcej wiedział od Metznera. Twierdził jedynie, że wysoką, szczupłą postacią i kształtem rąk zamordowany przypomina czerwonego błazna.

W tej chwili do garderoby gwałtownie otworzono drzwi i wpadł przez nie jeden z agentów.

— Panie komisarzu, Mamy ślady. Na starej zaproszonej dekoracji, tuż obok garderoby numer trzy, znaleźliśmy na pyłe odbicie całej dłoni. Zrobiłem już dokładny pomiar ręki i odcisk śladu. Przeprowadziłem również badanie palców. W drzwiach wahadłowych zaś znalazłem tę rękawiczkę męską, do której nikt z obecnych przyznać się nie chce.

Tymczasem Małkowski ukończył już badania daktyloskopijne i przez szkło powiększające oglądał drzwi garderoby od strony wewnętrznej. Wzrok jego śledził coś w okolicy klamki. Komisarza Borewicza to badanie zaczęło interesować. Zbliżył się do Małkowskiego, wpatrzył się bacznie w miejsce, które agent niezwykle starannie badał przez szkło. W miejscu tym ujrzał Borewicz wyraźny ślad palców wyciśnięty w kurzu na drzwiach. Widocznie ktoś zawałanymi prochem palcami dotknął drzwi od wewnątrz garderoby.

To niezwykle spostrzeżenie komisarza przerwał odgłos zgiełku na korytarzu. Po chwili dwu agentów policyjnych wprowadziło do garderoby jakiegoś starszego, dobrze ubranego człowieka o bardzo poczciwym ale nie mniej przełęczonym wyrazie twarzy.

— Panie komisarzu ten pan nie należy do zespołu teatralnego, ukrył się przed policją w klozecie i nie chce wyjaśnić ani co tu robi, ani po co się ukrywa.

Sprowadzony przybrał śmiesznie płaczącą minę i zaczął się tłumaczyć:

— Panie komisarzu, ukryłem się, gdy usłyszałem, że kogoś tu zamordowano, i źle

zrobiłem, ale wierz mi pan, nikogo nie zamordowałem. Jestem lekarzem, nazywam się doktor Reski. Chciałem pomówić z jedną z tutejszych artystek. Bałem się skandalu, jestem żonaty... to było powodem, że się ukryłem... Panie komisarzu, na miłość boską, niech mnie pan nie aresztuje, jutro cała Warszawa dowie się o skandalu. Dyrektor Metzner mnie zna, potwierdzi, że nazywam się Reski, mieszkam i ordynuję przy Szpitalnej numer osiem.

Gruby Metzner kiwał głową, potwierdzając prawdziwość słów Reskiego.

Widząc pocziwą twarz Reskiego, bliskiego płaczu, komisarz mimo woli się uśmiechnął.

— Panie doktorze, jest pan na razie wolny i za chwilę będzie pan mógł tę klatkę opuścić.

Może jednak łaskawie przypatrzy się pan zamordowanemu, może pan przypadkiem go zna.

Doktor Reski zbliżył się do trupa i chwilę wpatrywał się w jego twarz.

— Ależ naturalnie, znam go. To znany w Warszawie bogaty bankier Karol Mertinger.

— Czy się pan nie myli? — spytał komisarz policji.

— Ależ nie, od lat kilku znam go osobiście.

Twarz komisarza policji przybrała wyraz zdumienia.

NASTĘPNEGO DNIA

Wik Skarski, wyleciawszy jak strzała przez boczne podwórko *Złotego Ptaka* na jasno oświetloną ulicę, potrafił kilku przechodniów i biegł jak nieprzytomny dalej. Scena, jakiej był świadkiem w garderobie czerwonego błazna, utrwaliła się jakimś niezmasalnym kolorytem na siatkówkach jego oczu. Nie widział ludzi, nie widział gdzie jest, pędził jak oszalały, widział przed sobą tylko strugę świeżej, jak błyszczący koral, krwi i...

Ta krew jakby wypełniała mu oczodoły. Cienką strugą wciskała się do jego mózgu, zalewała go, tamowała mu ruch nóg. Skarski nie badał, nie analizował tego, co się tam stało – rozpełtane myśli nagle wstrzymały się w biegu, mózg jego przestał działać. Wewnątrz głowy czuł jakby miarowe uderzania olbrzymiego młota. Białe światła latarń rozdrażniały jego nerwy oczne aż do dotkliwego bólu. Skręcił w ciemniejsze ulice i kilometrami biegł dalej. Zmęczone nogi wykonywały tylko automatyczne ruchy i to już niepewne, aż wreszcie Skarski poślizgnął się i ciężko upadł w śnieg. Chciał się podnieść, biec dalej, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Czuł, że pot spływa mu ciepłą strugą spod kapelusza, osiada na brwiach i gęstymi kroplami pada na śnieg.

Zdjął kapelusz. Promyk świadomości zaczął się przebijać przez obolały mózg. Siedział w śniegu gdzieś daleko na przedmieściu, bo tylko naftowa lampa mrugała jakimś brudnożółtym światełkiem. Wyteżył wzrok, aby przebić ciemności, ale nic nie zobaczył oprócz wielkich płatów śniegu. Wyteżył słuch, usłyszał jakby niewyraźny szepc. Jeszcze chwila, a w szepcie odróżnił plusk wody – był blisko Wisły.

Po ustaleniu tego faktu bezwład myślowy przechodził. Świadomość poczęła powracać. Strzępy myśli poczęły układać się powoli w całkowity obraz. Jasno oświetlony kabaret... brudne kulisy... zapyłone dekoracje... kłamka... garderoba i... Jezus, Maria, ta czerwona krew!...

Skarski zerwał się na równe nogi, lecz znów omal nie upadł. Nagle w jego obolały mózg wślizgnęło się jak wąż uczucie strachu.. To pustkowicie, te płaty mokrego śniegu i ten miarowy plusk Wisły... Pędem chciał biec ku miastu, nogi nadal odmawiały posłuszeństwa, włókł się tylko. Na niebie wynalazł nagle jaśniejszy refleks – to łuna bije z ulic... tam ludzie... światło... Warszawa...

Pędził ku miastu, co chwila potykając się na zwałach śniegu.

* * *

Było już dobrze po północy, gdy Wik zadzwonił do bramy domu. Stróż otworzył i nie poznał dobrze mu znanego lokatora. Skarski ciężko drapał się po schodach do mieszkania i w palcie ociekającym wodą padł na skórzany fotel. W pierwszej chwili przeraził się – naprzeciw w lustrze ujrzał śmiertelnie bladą twarz zupełnie obcego człowieka. Z uwagą zaczął Skarski śledzić nieznajomego w lustrze. Powoli poznał siebie. Zdziwiło go ogromnie, że zamiast kołnierzyka ma

jakaś białą, zmiętą szmatę zawiniętą naokoło szyi. Jeszcze więcej zdziwiły go kosmyki zbitych włosów, z których obficie spływała na kołnierz palta woda.

— Ja, czy nie ja? — ustawicznie stawiał sobie pytanie.

Ciepła temperatura pokoju zaczęła powoli przy wracać mu przytomność. Jak w przetartej tafli zapyłonego zwierciadła, zaczęły powoli w jego głowie wyraźniej występować obrazy dzisiejszej nocy. Myśli jego pracowały coraz sprawniej i lepiej, aż zaczęły nizać się na sznurek logiki.

— Muszę poczekać kilka dni w Warszawie, aby zrozumieć tę tragiczną scenę — myślał już w pełni świadomości. — Zaraz rano napiszę list do Mertingerowej i wniosę na ręce ministra prośbę o dymisję. Potem wyjadę z Warszawy – ale gdzie? – Może do Francji.

Wik wstał wreszcie z fotelu, z trudem zdjął przemoczone palto, mokry kołnierzyk, ubranie. Cicho wsunął się do łóżka, zgasił światło. Sen jednak nie chciał przymknąć mu powiek. Zapalił światło, ubrał ciepłą piżamę i powoli mierzył krokami pokój.

— Teraz, zaraz napiszę list, bo kto wie, czy rano będę w pełni zmysłów — chłodno już rozumował.

Usiadł przy biurku; ręka jego szybko posuwała się po papierze, jakby nie mogąc nadażyć gwałtownemu napływowi myśli. Wik pisał:

Szanowna Pani!

To co uważała Pani za krótki i może mało ciekawy flirt karnawałowy — to dziwny w sercu i duszy mojej wywołało posiew. Kocham Panią!!

Nie myśl Pani, że miłość moja jest tą egzaltowaną rośliną, wychowaną w sztucznym cieple i chorobliwej atmosferze salonów; jest uczuciem głębokim, jakie rozwinąć się może tylko w duszy człowieka niezspsutego, który dużo romantyzmu ukrywał pod maską ironii z tej tylko przyczyny, że romantyzm jest dziś niemodny i mógłby wydać się śmieszny w ścianach salonów. Śmieszności zaś bałem się więcej, niż czegokolwiek innego.

Miłość moją ukrywałem długo i bałem się ją Pani wyznać – nie wiedziałem bowiem, jak zostanie przyjęta. – Wyśmianie mego uczucia mogło mnie złamać. Uważałem, że spełnienie pierwszego Pani kaprysu zbliży nas. Zamiast czerwonego błazna, odkryłem jednak w garderobie kabaretu ruinę mego szczęścia, rumowisko mych marzeń i planów przyszłości. Chęć spełnienia kaprysu Pani pociągnęła jeszcze jedną, i to o wiele większą dla mnie tragedię: utratę tej, którą kocham.

Listem tym żegnam Panią prawdopodobnie na zawsze.

Od chwili wysłania listu rozpoczną się dla mnie dni ciężkie i twarde. W ciemną przyszłość niosę jednak jeden mały promyk szczęścia: – obraz Pani takiej, jaką po raz ostatni Ją widziałem – z tym dziwnym wyrazem zmęczenia na cudnej twarzy, z tym promykiem sympatii dla mnie, jaki zajaśniał w oczach Pani, tam w tym zimowym ogrodzie...

Wik skrupulatnie złożył papier, wsunął do koperty i wypisał na niej adres pani Hali Mertinger.

Drugi list był znacznie krótszy – Wik pisał go jak człowiek w pełni władania swymi nerwami:

Wielce Szanowny Panie Ministrze!

Dziwny, a dla mnie bardzo tragiczny splot wypadków, zmusza mnie do bezzwłocznej rezygnacji z zajmowanego stanowiska. Tajemnicze powody rezygnacji i oryginalny termin prosby o zwolnienie zechce Pan Minister usprawiedliwić ogromem nieszczęścia, jakie niespodzianie na mnie się zważyło. Dziękując za zawsze mi okazywaną życzliwość i pobłażliwość w służbie, przesyłam wyrazy głębokiego szacunku

Wiktor Skarski

Po napisaniu obu listów Wik odetchnął z ulgą. Jakby olbrzymi ciężar spadł mu z serca. Myśli jego przestały nareszcie krążyć koło tragicznego zajścia w garderobie, zaczęły pracować nad tym, w jaki sposób powiadomić brata o swych nieodwołalnych postanowieniach. Wik zanadto kochał Józefa, by cisnąć mu, na głowę od razu, jak grom, nieszczęsną wiadomość. Zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, że Józef wszystko mu wybaczy, wszystko zrozumie, ale nie chciał serca jego zanadto krwawić. – Wik z góry postanowił, że zatai przyczyny swojego nagłego wyjazdu i dymisji. Upewni Józefa, że nic niehonorowego nie popełnił, że żadnej plamy na nazwisku Skarskich nie zostawia. Domysły zaś Józefa obracać się będą przypuszczalnie koło jakiejś tajemniczej tragedii sercowej, którą on Wik rzekomo w ostatnich dniach przeżył.

Około godziny ósmej rano Skarski zadzwonił na służącą. Dowiedział się, że Józef i Wanda czekają na niego już ze śniadaniem. Służącej wydał polecenie natychmiastowego odniesienia obu listów – sam wszedł do jadalni.

Wanda właśnie nalewała kawę do filiżanek. Zaledwie spojrzała na brata, nie mogła powstrzymać okrzyku przerażenia.

— Wik, ty chyba całą noc nie spałeś?

— Rzeczywiście niezbyt dobrze się czuję, dziś nie pójdę do biura, głowa mnie boli, i trochę przykrych wiadomości zważyło się na mnie, ale to drobiazg, przejdzie...

Józef odłożył gazetę poranną i uważnie spojrzał na brata. Wik w istocie był śmiertelnie błydy, pod oczyma rysowały się głębokie czarne cienie, oczy tylko wyrażały spokój.

Wanda szczerze zaniepokoiła się bratem.

— Wik, ja zaraz zadzwonię po lekarza... wyglądasz, jakbyś przeszedł ciężką chorobę.

— Ale nie potrzeba, Wandeczko, przejdzie, zaraz przejdzie, po południu ani śladu choroby nie będzie.

Nagle wzrok Wika padł na złożoną gazetę. Na pierwszej stronie wyczytał wydrukowany olbrzymimi literami tytuł:

Tajemnicze morderstwo w kabarecie

Zasztyletowanie czerwonego błazna

Pokój zawirował mu w oczach. Nie mógł w żaden sposób oderwać oczu od tego sensacyjnego tytułu. Litery raz wirowały, to znów skakały mu przed oczyma, co chwila zaś zmieniały swą barwę z czarnej w krwawo-szkarłatną, to znów tak drażniąco zieloną, że Wik musiał opuścić powieki, bo od tej zieleni czuł ból w gałkach ocznych.

Śniadanie przeszło w przykrym milczeniu. Józef i Wanda milczeli, odczuwając

intuicyjnie, że jakieś wielkie nieszczęście musiało brata dotknąć. Śniadanie dobiegło wreszcie do końca, Wik wstał i poprosił brata do swego pokoju.

Gdy znaleźli się sami, starając się swemu głosowi nadać ton jak największego spokoju, Wik zaczął przygotowaną w czasie bezsennej nocy rozmowę.

— Wierzaj mi Józefie, że nie tylko głęboki szacunek i wdzięczność żywię dla ciebie w swym sercu, ale i miłość jakby synowską. Dziś chyba więcej niż kiedykolwiek odczuwam, ile mam tobie do zawdzięczenia. Ty mnie wychowałeś, ty łożyłeś ze swych ubogich zarobków na moje studia, ty z ojcowską pobłażliwością przyjmowałeś w dodatku jeszcze na siebie konsekwencje moich lekkomyślnych kroków. Dla mnie i dla Wandy zaparłeś się siebie samego, wyrzekłeś się własnego ogniska domowego. Wszystko to wiem, zdaję sobie sprawę z ogromu twych ofiar i poświęceń i dlatego wolałbym nie dożyć dzisiejszego dnia i tej chwili, w której muszę głęboko zranić twe serce i zburzyć gmach tych nadziei, jakie z moją osobą wiązałeś...

Tu głos mu się załamał i Wik zaczął szlochać jak dziecko. Józef przybladł, czuł, że wkrótce silny cios w niego uderzy. Twarz jego wyrażała rezygnację, tylko w dużych, wyrazistych oczach przebijała się trwoga o los brata. Wik jeszcze nigdy tak poważnie nie przemawiał, a jego płacz wskazywał, że istotnie dotknęło go wielkie i ciężkie nieszczęście.

Po chwili Wik opanował atak płaczu i mówił:

— Wielkie dotknęło mnie nieszczęście. Z duszy i serca chciałbym je przed tobą Józefie, jak przed ojcem wyjawić, ale niestety kilka drogich mi osób jest zamieszanych w tę sprawę, których tajemnicy muszę strzec jako człowiek honoru. Nie posądzaj mnie o brak zaufania, bo ufam ci bezgranicznie, ale związane mam ręce i zakneblowane usta. Do pracy, którą tak lubiłem, nie mogę wrócić, i dziś rano wniosłem prośbę o dymisję. W ciągu kilku dni muszę wyjechać za granicę. Funduszków wielkich mi nie potrzeba. Im ciężej będę tam pracował na kawałek chleba, tym lepszą będę miał sposobność zapomnienia... To wszystko Józefie, co ci mogę powiedzieć.

Nowy atak przerwał mu dalsze słowa.

Józef ukrył twarz w dłoniach. Słowa brata uderzyły go, jak ciężki obuch, w głowę. W pokoju panowała cisza przerywana tylko od czasu do czasu głębokim szlochem Wika.

Po dłuższej dopiero chwili Józef oderwał dłonie od twarzy. Twarz była kredowo biała, usta drżały nerwowo. Ten zrównoważony, niezwykle spokojny człowiek zmagał się z sobą, starał się opanować swoje nerwy, zdusić ból i żal.

Po chwili milczenia Józef wstał z fotela, podszedł do okna, mocno oparł ciężącą mu głowę na chłodnej, wilgotnej szybie. Jego oczy ślizgały się po zaśniewanych dachach sąsiednich domów. Nie patrząc na Wika, Józef mówił jakby sam do siebie:

— Tak, i to jeszcze muszę przeżyć. Gdy uważałem, że blisko już jestem nagrody za trud i poświęcenie, widzę, że ziemia usuwa mi się spod nóg... Trudno... Myślałem, że dalszy los Wandy wkrótce nie tylko moje barki obciąży, widzę jednak, że moje zamki w proch się rozsypują... Trudno, trzeba wytrwać. I wytrwam. Nie będę żądał od ciebie, byś wyspowiadał się ze swej tajemnicy, skoro zasłoniłeś się obowiązkiem dyskrecji koniecznej dla innych. Jedno tylko chciałbym mieć od ciebie zapewnienie: czy dobrze zastanowiłeś się, zanim prośbę o zwolnienie ze służby przesłałeś do ministerstwa? Czy dobrze wszystko przemyślałeś, zanim postanowiłeś opuścić Warszawę i udać się zagranicę, paląc wszystkie mosty za sobą?

— Przemyślałem wszystko i innych dróg wyjścia nie mam — cicho i stanowczo odpowiedział Wik.

— W takim razie moje rady są zbędne.

Józef stał jeszcze chwilę przy oknie, potem wolno ruszył ku drzwiom. Twarz jego wyrażała ból. Wysoka, smukła postać zgięła się jak pod brzemieniem zbyt wielkiego ciężaru, krok jego był chwiejny i niepewny jak krok starca. Cicho zamknął za sobą drzwi.

Wik rzucił się na łóżko, wcisnął głowę w poduszki i spazmatyczny płacz długo wstrząsał jego ciałem.

Atak płaczu i straszne przeżycia ostatniej nocy wkrótce wyczerpały jego młody organizm.

Wika ogarnął kamienny sen.

VI

STRASZNA WIADOMOŚĆ

Pani Hala spała. Ciężkie jedwabne żaluzje pograżyły jej buduar w zupełnym mroku. Bojąc się, by światło dzienne nie zakłóciło jej snu, pani Hala kazała wczoraj oprócz żaluzji jeszcze ciężkimi portierami przysłonić szyby okienne. Troska pięknej pani o wypoczynek była zupełnie zrozumiała, onegdaj była do późnej nocy na balu u Kleskich, wczoraj z Łotkiewiczami w Wielkim na premierze *Pana Twardowskiego*, później z nimi na kolacji w Europejskim i wracając do domu, czuła się szalenie zmęczona. Zmęczenie to fatalnie odbiło się na jej cerze i na oczach. Skóra na skroniach nieco przyżółkła, w białkach oczu zauważyła dwie cieniutkie krwawe żyłki. Pani Hali zależało zaś specjalnie na tym, by dziś dobrze wyglądać – w południe miała się widzieć z Wikiem Skarskim u Lourse'a, wieczorem miała być na dobroczynnym balu w sali pompejańskiej w kostiumie *bergère*. Rotmistrz Marchwicki już od kilku dni dopytywał się Belci Łotkiewiczowej, czy Hala na tym balu będzie. Piękna pani czuła, że ten śmieszny, a taki ładny chłopak, szaleje za nią. Wiedziała, że i Wik będzie. Chciała ich obu mieć razem, chciała wykazać Łotkiewiczowej, że Wik bezwarunkowo jest piękniejszy, ma o wiele więcej rasy niż Marchwicki, a przede wszystkim nie tylko piękne, ale mądre i inteligentne oczy.

Pani Hala czuła jednak, że bal w sali pompejańskiej nie będzie dla niej clou w tegorocznym karnawale – najpierw te ślady zmęczenia, które, kto wie, czy znikną zupełnie do wieczora, potem ta przekłeta peruka... Karol zamówił dla niej białą perukę w Paryżu. Przesyłka przyszła, ale peruka w kilku miejscach była rozfryzowana. Pani Hala oddała ją do *Mieczysława*, by loki poprawił. Perukę przyondulowano tak fatalnie, że wyglądała jak poirytowany pinczerek. Aż spłakała się pani Hala wczoraj, widząc tak ordynarną i bez gustu zrobioną ondulację. Co gorsze, Łotkiewiczowa radziła oddać perukę do *Ewarysta*, a nie do *Mieczysława*, pani Hala uparła się i teraz ma za swoje... Nawet pokojówka Felka do łez się uśmieła z tych pudlich loków.

Myśl o fatalnej robocie fryzjera byłaby zupełnie spędziła sen z oczu pani Hali, gdyby nie wspomnienie balu u Kleskich i ten kochany Wik, który wczoraj z pewnością całą noc latał, by dowiedzieć się coś o czerwonym błaznie. Myśl o Wiku, drepczącym całą noc za jakimś czerwonym błaznem wydawała się tak zabawną pani Hali, że zapomniała o peruce i zasnęła mocno i głęboko z lekkim uśmiechem na pięknej twarzy.

Była godzina dziewiąta rano, gdy ktoś silnie zadzwonił do mieszkania państwa Karolów Mertingerów. Lokaj otworzył i był niezmiernie zdziwiony, widząc w drzwiach olbrzymiego wzrostu mężczyznę w mundurze komisarza policji.

— To pewnie wedle córki stróża — pomyślał zakłopotany lokaj.

Komisarz policji wszedł do poczekalni.

— Czy pan Karol Mertinger w domu?

— Nie ma — odpowiedział służący — ale pewnie jest w banku przy ulicy Senatorskiej.

— A pani Mertingerowa?

— Pani jest, ale śpi.

— Proszę obudzić.

— Kiedy pani budzić nie wolno, a poza tym, co ma nasza pani z policją?

— Proszę zbudzić! — tubalnym głosem rozkazał komisarz.

Lokaj podrapał się w głowę, w takiej sytuacji nigdy nie był.

— Niech pan poczeka — niechętnie odburknął komisarzowi i powoli powlókł się do kuchni, by z Felką tę delikatną sprawę załatwić. — Może tam i stary coś wyskrobał... Mało to dolarów i paska chodzi po ulicach... Licho wie, może i naszego starego coś pociągnęło i teraz chcą go wdusić do paki — myślał Stefan, wlokąc się do kuchni.

Narada z Felką i kucharką trwała dość długo, zanim pokojówka zdecydowała się wejść do buduaru pani Hali.

Cicho jak kot stapała pokojówka po miękkim dywanie, bez szelestu rozsunęła ciężkie portiery, podniosła żaluzje i wpuściła do pokoju snop promieni jasnego, zimowego słońca. Złote, ciepłe promienie spadły na łóżko, na koronkową pościel, na twarz śpiącej. Pani Hala nie przebudziła się. Felka stanęła blisko łóżka, delikatnie nachyliła się nad swoją panią.

— Proszę pani, jakiś komisarz policji w bardzo pilnej sprawie chce z panią pomówić.

Pani Hala teraz dopiero otworzyła oczy. Nie rozumiała jeszcze, co do niej Felka mówi. Skrzywiła się niecierpliwie.

— Ach, Felka, jaka ty jesteś niezręczna, budzisz mnie tak wcześnie. Wyraźnie mówiłam, że dopiero o jedenastej możesz wejść do pokoju. Jeśli przyszedł ktoś z policji, to może do pana, ale nie do mnie. Doprawdy, że ciębie trudno czego nauczyć.

— Kiedy proszę pani naszego pana znów całą noc w domu nie było. Jak wyszedł wczoraj w południe, to dotychczas go nie widziałam. Komisarz policji mówi właśnie, że do pani ma pilny interes.

Sercem pani Hali targnął jakiś dziwny niepokój. Szybko zerwała się z łóżka. Felka podała jej biały koronkowy szlafroczek, ubrała panią w pończochy i ranne pantofle. Pani Hala siadła przed lustrem, kazała sobie upiąć włosy, sama przypudrowała twarz, poczerzyła brwi i rzęsy. Zanadto była kobietą, by nawet komisarzowi policji pokazać się bezpośrednio po zakłóconym śnie.

Długo musiał komisarz Borewicz czekać, nim poproszono go do salonu.

— Najmocniej panią przepraszam, że ośmieliłem się o tak wczesnej porze prosić o chwilę rozmowy. Obowiązki policji są jednak przykre... Chciałem panią zapytać, kiedy wczoraj po raz ostatni widziała pani męża, bo od służby zdołałem się już dowiedzieć, że pana Mertingera całą noc w domu nie było.

— Wczoraj jadłam razem z mężem obiad. Po południu mąż wyszedł do banku, wieczorem byłam w teatrze i męża nie widziałam, ale przepraszam pana, do czego potrzebne są panu te informacje?

— Chcę ustalić, czy człowiek, którego dotknęło nieszczęście wczoraj w kabarecie *Złoty Ptak*, jest rzeczywiście mężem pani.

Pani Hala przybladła.

— Nieszczęście... ale czy panowie się nie mylą... Panie komisarzu, proszę mi całą prawdę powiedzieć. Jestem przygotowana na wszystko... Czy mąż mój popełnił jakiś czyn występny?

— Nie.

— Czy żyje?

— Nie żyje.

Pani Hala zerwała się z fotela, tłumiąc ręką bicie serca.

— Ależ mój mąż był zupełnie zdrow, nigdy nie chorował, więc skądżeż ta nagła śmierć?

— Mąż pani został zamordowany.

— Jezus, Mario!!! — przez kogo??

— Właśnie, że sprawcy nie znamy i staramy się go odszukać. W wyszukaniu morderców może być nam pani bardzo pomocna i dlatego proszę panią o zdobycie się na chwilę równowagi i spokoju. Chcę od pani otrzymać kilka informacji. Czy mąż pani często przebywał wieczorami poza domem?

Pani Hala padła na fotel. Długa chwila upłynęła, zanim zdobyła się na tyle równowagi, by móc odpowiedzieć na pytanie.

— Bardzo często, prawie codziennie. Fakt, by mąż spędził wieczór w moim towarzystwie w domu, należał od lat kilku do rzadkości. Wieczory spędzał albo w banku, albo w klubie myśliwskim, albo...

— Albo?

Pani Hala spuściła powieki.

— ... albo u swojej przyjaciółki.

— Czy mogłaby mi pani podać kilka szczegółów o przyjaciółce męża? Rozumie pani, że nie jest to prywatna ciekawość, jedynie chęć wytropienia morderców zmusza mnie do stawiania tak niemilych pytań.

— Owszem. Przyjaciółka męża przed dwoma jeszcze laty była maszynistką w jego banku. Pokazywano mi ją w teatrze i na ulicy. Jest to młoda, przystojna dziewczyna o mało inteligentnym, za to bardzo wyzywającym typie. Ubiera się bardzo dobrze, często widywałam ją w towarzystwie jakiejś staruszki prawdopodobnie matki. Wiem, że mąż wynajął i umeblował dla niej jakieś duże mieszkanie przy Jasnej. Nazywa się podobno Zofia Potoralska. Więcej nic nie wiem w tej sprawie, a zrozumie pan komisarz, że zbyt ciekawości w tym kierunku nigdy nie objawiałam.

Komisarz Borewicz skłonił głowę na znak zrozumienia.

— A nie wie pani, czy pannę Potoralską łączyło cośkolwiek z kabaretem, teatrykiem, baletem, czy w tych sferach miała ona jakieś znajomości?

— Tego nie wiem.

— A czy nie słyszała pani przypadkiem, by mąż w zdobyciu względów panny Potoralskiej, natknął się na jakiegoś zazdrosnego rywala lub mściwego brata?

— Nie słyszałam.

— A teraz jeszcze jedno przykre pytanie, które niech pani usprawiedliwi moim obowiązkiem urzędnika śledczego. Czy nikt z powodu zazdrości o panią nie targnął się na życie jej męża?

— To wykluczone!!!

Komisarz Borewicz nie spuszczał oczu z pani Hali, badając, jakie wrażenie wywoła na niej to pytanie. Pani Hala zniosła je spokojnie i żaden nerw jej twarzy nie drgnął.

— Kończę już obowiązki inkwizytora i proszę o odpowiedź tylko na to ostatnie pytanie: czy wydaje się pani możliwe, by jej mąż wieczory spędzał w *Złotym Ptaku* i występował na scenie jako czerwony błazen, tając to przed panią i otoczeniem.

— Uważam to za zupełny absurd, przede wszystkim Karol był zamożnym człowiekiem i nie miał potrzeby zarobkować na scenie. Poza tym mąż mój nie był ani dowcipny, ani nie posiadał głosu, grać nie umiał na żadnym instrumencie. A zresztą w tej chwili przypomniałam sobie fakt, który zupełnie zbija pańskie przypuszczenie: przed kilku dniami byłam wraz z mężem i państwem Druskimi na występie czerwonego błazna. A rozdwojenie osoby jest chyba niemożliwe...

— A jak zachowywał się mąż pani w chwili występu czerwonego błazna? Czy nie był zdenerwowany?

— Nie. Jak zwykle w teatrze, spał...

Komisarz Borewicz pożegnał panią Mertingerową, dziękując za informacje.

Na odchodnym zapytał, czy ciało zabitego ma być przewiezione do domu, czy też do jednego z kościołów lub kaplic. Pani Mertinger obiecała wydać telefonicznie swe dyspozycje...

Po wyjściu komisarza policji pani Hala przeszła do pokoju męża. Dziwne przeżywała wrażenie, nie mogła sobie uświadomić, czy wizyta komisarza policji i straszna wiadomość o morderstwie była halucynacją czy jakimś dziwnym snem, czy też rzeczywistością.

Najwięcej zdziwiło panią Halę, że po rozmowie z komisarzem czuje, że straszna wiadomość, która tak ją w pierwszej chwili przeraziła, nie wstrząsnęła nią aż tak głęboko, jakby wstrząsnąć powinna. Pani Hala była przerażona, ale to nie przeszkadzało jej myśleć chłodno nawet o drobiazgach. Pani Hala przypominała sobie nawet, że przerwano jej sen. Świadomość tego wywołała w niej uczucie zmęczenia. Położyła się na otomanie, przykrytej puszystym futrem białego niedźwiedzia. Przez chwilę próbowała nawet zasnąć, po kilku sekundach uświadomiła sobie, że nie ma potrzeby spać i dbać o swój wygląd, bo ani do Lourse'a, ani na bal do hotelu Europejskiego pójść nie może, bo od dziś dnia jest wdową...

I znów zdawało się pani Hali, że śni.

— Jestem wdową, jestem wdową.. — powtórzyła kilkakrotnie głośno, chcąc w ten sposób skonstatować, że nie śni. Głos swój słyszała wyraźnie, wykonała kilka ruchów ręką, z których dokładnie zdawała sobie sprawę, więc doprawdy to nie był sen...

Pani Hala zaczęła przede wszystkim zastanawiać się nad tym, dlaczego po stracie męża nie płacze, dlaczego nie rozpacza i nie czuje się nieszczęśliwa?

Ogromnie łatwo znalazła odpowiedź na to pytanie.

Wyszła za męża za bogatego Mertingera, ponieważ wiedziała, że on otoczy ją zbytkiem. W chwili gdy Mertinger oświadczył się o nią, nie kochała nikogo, żadnej więc walki psychicznej nie potrzebowała z sobą staczać. Męża również nie kochała. Wychodząc za męża była piękna, nie posiadała jednak żadnych kwalifikacji ani na żonę, ani na kochankę. Sprawy gospodarstwa domowego były dla niej obojętne i niechętnie zajmowała się nimi, rozmowy z mężem o jego spekulacjach finansowych nie interesowały ją zupełnie, zresztą były to zbyt trudne tematy dla jej umysłu i męczyły ją szybko. Pieszczoty przyjmowała początkowo z jednakowym uśmiechem, później z jednakowym grymasem niezadowolenia, nie odczuwając w nich przyjemności. Często zazdrościła przyjaciółkom temperamentu i zmysłowości. Chciała w sobie to samo odnaleźć czy wyrobić, chciała dojść do tego, żeby dla pieszczoty męża lub dla zdobycia kochanka być zdolną do ofiar, do rezygnacji z wygod i dobrobytu. W żaden sposób na dnie duszy i serca nie mogła znaleźć takiej iskry, która by dała się rozdmuchać w ogień. Próbowała lekturą rozbudzić swoje zmysły, czytała dziesiątki bezwartościowych romansów francuskich, bezwartościowych, ale bogato wydanych, nowel i powieści najmodniejszych zagranicznych propagatorów pornografii, sama prosiła męża, by oprowadzał ją po przybytkach podkasanej muzy, aż jej się to wszystko... znudziło.

Karol po roku zniechęcił się do żony, szukał ujścia dla swego temperamentu poza domem. Pani Hala była z tego zadowolona, uwalniało ją to od roli ofiary. Jeśli istniała jakaś mała doza energii i temperamentu w pani Hali, to ta objawiała się jedynie w salonie Zmigrydera lub Hersego, gdy kombinowała z dyrektysą nową suknię balową, płaszcz lub kostium. Bal, raut czy spacer stanowiły dla pani Hali tylko wtedy atrakcję, gdy wiedziała, że nową toaletą potrafi wzniecić zazdrość swych przyjaciółek, a u mężczyzn podziw dla swej elegancji i dobrego smaku.

Po kilku latach w usposobieniu pani Hali zaczęły jednak zachodzić pewne zmiany. Atmosfera salonów i sal balowych zaczęła ją ciągnąć sama przez się. Gdy mąż zażądał, by w swoich salonach urządziła five o'clocki i rauty, pani Halina chętniej zgodziła się na tę propozycję, aniżeli nawet mąż tego oczekiwał.

Młoda, piękna żona bankiera była na każdym balu, raucie czy koncercie obłożona przez mężczyzn. Ten, kręcący się obok niej korowód czarnych fraków, sprawiał jej satysfakcję, pozwalał tryumfować nad przyjaciółkami, odbierać zazdrosne spojrzenia innych, mniej szczęśliwych, kobiet. Pani Hala chciała korowód ten jeszcze bardziej zwiększyć i na długo przy sobie utrzymać, starała się być uprzejmą, dowcipną, interesującą, pozwalała nawet na śmiałe dwuznaczniki, na wyraźne niedomówienia... Powoli, w ogniu flirtu, w szepcie zwierzeń w pani Hali zaczynała budzić się kobieta. Karol Mertinger nie zastanawiał się nad tymi zmianami w usposobieniu żony. Doskonała konstelacja dla interesów walutowych pochłaniała całkowicie jego uwagę, a poza tym z góry miał już urobione przekonanie, że tylko poza domem może znaleźć odpowiednią dla swego usposobienia kochankę.

Korzystając z olbrzymiej swobody, pani Halina coraz częściej wracała do domu ze wspomnieniem miłej rozmowy z tym lub innym młodym człowiekiem, coraz częściej zatrzymywała w swej pamięci sylwetkę któregoś z sympatycznych adoratorów.

W tym czasie poznała Wika Skarskiego. Wik mógł się podobać. Nie tylko warunki zewnętrzne jednały Wikowi sympatię kobiet, a umiał on być raz powściągliwy, raz brać kobiety na tę umiarkowaną nonszalancję, czasem cynizm, a czasem nawet na romantyzm.

Dalej, Wik cieszył się wśród kobiet opinią bardzo dyskretnego młodego człowieka, co stanowi najlepszą rekomendację na kochanka.

Wspomnienie Wika, ostatnia zabawa u Kleskich skierowały myśli pani Hali ku *Złotemu Ptakowi* i tragedii Karola. Pani Hala chciała wstać i telefonicznie wezwać do siebie prokurenta banku męża i siostrę, by z nimi omówić szczegóły pogrzebu i stan interesów, w jakich mąż ją pozostawił, gdy do pokoju weszła pokojówka, niosąc śniadanie. Na tacy leżał list. Pani Hala szybko przedarła kopertę i przeczytała nerwowo skreślone na arkusiku litery. List pisany był ręką Wika. Szybko przebiegała oczyma po białej kartce papieru, wreszcie list wypadł jej z ręki, pani Hala ukryła twarz w poduszkach i spazmatyczny płacz wyrwał się z jej krtani...

VII

ŚLEDZTWO SIĘ RWIE

Prokurator Gliński siedział w swym głębokim fotelu, patrząc odruchowo na stos akt, spiętrzonych w nieładzie na olbrzymim biurku. Oczy jego wyrażały głębokie zamyślenie.

Myśli szybko biegły po rozlicznych torach i drogach, które swój początek brały z cieniutkiego pliku akt, na których jak na złość wesoło igrał jeden, odczepiony od całego snopa, promień zimowego słońca.

— Rzeczywiście, diabelnie powikłana sprawa — powtarzał prokurator, gładząc się nerwowo po doskonale wyczesanych, lśniących jak czarny plusz, włosach. — Dia-bel—nie trudna!

Wzrok prokuratora padał nie wiedzieć który już raz na zieloną okładkę z nic nie mówiącą sygnaturą i kaligraficznym napisem: *Sprawca nieznany*. Nie wiedzieć który już raz Gliński odczytywał sądowy wywód oględzin zwłok zamordowanego w kabarecie bankiera i protokoły zeznań kilku świadków, którzy właściwie nic w tej sprawie nie wiedzieli.

Glińskiemu cała sprawa silnie zaczęła już dokuczać. Kilka dni minęło od morderstwa, a śledztwo nie dało najmniejszego haczyka, na którym można by było cośkolwiek zaczepić.

— Nic, nic i nic...

W chwilach takiej bezradności prokurator Gliński doznawał uczucia, jakby jakaś zdegenerowana zbrodnicza twarz śmiała mu się w oczy. Śmiejąca się wizja dokuczała mu w dzień i w nocy. Gorzej — całe miasto zostało poruszone faktem zagadkowego morderstwa w garderobie *Złotego Ptaka*, gazety na swój sposób zaczęły komentować i rozwałkowywać zbrodnię, codziennie kilku reporterów dziennikarskich zjawiało się u niego i w policji po wywiad, a tu nic, nic, nic...

— Skąd się wziął Mertinger w tej przeklętej garderobie? — kołowało ciągle w głowie prokuratora, bo ani przez chwilę Gliński się nie łudził, by bogaty bankier przybierał postać czerwonego błazna.

Z osoby bogatego bankiera myśli Glińskiego prześlizgnęły się szybko na osobę pani Hali. Czy bardzo ją zmartwiła wiadomość o morderstwie? — myślał w dalszym ciągu. I z papierów zaczęły spoglądać na niego duże, siwe oczy... Potem wyłoniła się twarzyczka o bladej, matowej cerze i ślicznie zarysowana szyja. Obok tej pięknej twarzy zaczęła powoli wyłaniać się z zielonej okładki druga: młodego, przystojnego chłopca, i upodobniła się zupełnie do twarzy Wiktora Skarskiego. Ta druga twarz przychyłała się wolno, coraz silniej, ku twarzy pani Hali, aż wreszcie usta ich złączyły się w długim pocałunku.

Gliński szarpnął się, jak pod uderzeniem skalpelu w obolały nerw.

Ktoś delikatnie zastukał do drzwi gabinetu. Woźny zaanonsował komisarza policji Borewicza. Za chwilę herkulesowej struktury komisarz rozsiadł się w głębokim fotelu. Twarz Borewicza wcale nie jaśniała zadowoleniem.

— Przynosi mi pan coś nowego?

— Nic. Ani jednej odrobiny wiadomości nie zdołałem schwycić. Piekielnie zamazana

sprawa. Wszystkie nasze eksperymenty łamią się w ogniu prób. Ani na krok nie ruszyliśmy naprzód.

— Najgorsze to — przerwał prokurator — że w tej sprawie posuwamy się ciągle tylko po linii domysłów i oprócz tego, że wiemy, kim jest zamordowany, nie posiadamy nic pewnego. Trudno rozwiązać równanie o dziesięciu niewiadomych, a jednej tylko wiadomej... W takim labiryncie nigdy jeszcze nie krążyłem. Przykre jest i to, że prasa zaczyna nas naciskać a nic pozytywnego powiedzieć jej nie możemy... A co z psem?

— Iii — skrzywił się Borewicz — Lux oczywiście zawiódł. Za późno eksperyment z psem został wprowadzony. W dzień morderstwa Lux był w Skolimowie dla tropienia jakichś bandytów. W dwa dni po morderstwie daliśmy mu do obwąchania rękojeść kindżału. Małkowski przy swoich próbach daktyloskopijnych smarował rękojeść proszkiem, który prawdopodobnie nie był bezwonny, a wskutek tego i Lux cudów zdziałać nie mógł. Po obwąchaniu rękojeści pies jak oszalały puścił się na ulicę. Prowadził nas po całej Warszawie, wreszcie wbiegł do domu przy ulicy Miłej i zaprowadził nas do jakiegoś krawca „połatajki”, Żyda, ojca siedmiorga dzieci – ten z pewnością tylko raz na tydzień wychodzi po zakup nici... Daliśmy wreszcie psu do powąchania ubranie zabitego. Znow wodził nas po całej Warszawie i po trzech godzinach wpadł do domu, gdzie zamordowany mieszkał. Z psem eksperyment stanowczo spóźniony.

— A jak pan komisarz zapatruje się na niezgodność śladów palców na rękojeści kindżału z tymi śladami, jakie były na drzwiach garderoby i na starej dekoracji?

— Ja sądzę, że morderstwa dokonał ten sam człowiek, który zaczął się za dekoracjami i pozostawił ślad swej ręki odcisnięty w pyle, później morderca pozostawił część pyłu z dekoracji na drzwiach garderoby i ślady te były wyraźnie widoczne. Wprawdzie ślady tych palców nie są zgodne ze śladem na rękojeści kindżału, ale, o ile panu prokuratorowi wiadomo, rękojeść kindżału jest bardzo szeroka. Morderca miał dość małą i wąską rękę i nie mógł w całości objąć rękojeści. W chwili pchnięcia możliwe, że obrócił rękę i w ten sposób ślady palców na rękojeści wyszły zamazane i objętość tych palców wydaje się większa, niż tych na drzwiach i na dekoracji.

— To tylko domysły, panie komisarzu, i nic pewnego. Ale zapomniałem się spytać, czy kindżał był własnością sprawcy i czy to morderca przyniósł go do garderoby?

— Właśnie, że nie. Kindżał jest własnością teatru i nie można ustalić, czy leżał od dłuższego czasu w garderobie numer trzy, czy też morderca wyniósł go z rekwizytorni dla popełnienia morderstwa. Gdyby kindżał był własnością sprawcy, bez wątpienia ułatwiłoby nam to śledztwo.

— Jak zapatruje się pan komisarz na doktora Reskiego?

— Głowę dałbym za to, że ten człowiek nic z morderstwem nie ma wspólnego.

Byliśmy u niego, aby porównać jego palce z odciskami. Są zupełnie niezgodne. Reski żyje ciągle w obawie, by znajomi lub prasa nie dowiedzieli się, że był w dniu morderstwa za kulisami u jakiejś dziewczyny. Śmieszny człowiek, tak się bać żony...

— A ta rękawiczka?

— No, ta bez wątpienia należy do mordercy. Zresztą numer odpowiada zupełnie wymiarowi ręki, której odcisk mamy.

— Nie przypuszcza pan, panie komisarzu, by rękawiczka ta należała do jednego z artystów, który bał się przyznać do niej, sądząc, że to wplącze go w śledztwo?

— Bezwarunkowo nie.

— Widzę, panie komisarzu, że pan równie jak i ja posuwa się tylko po linii domysłów. Ale cóż robić, sprawa rzeczywiście poplątana i pogmatwana straszliwie. Może jakiś szczęśliwy traf pozwoli, że promień światła przebijie te ciemności. Cóż pan zamierza czynić w najbliższych dniach?

— Będę ponownie słuchał wszystkich artystów *Złotego Ptaka* i cały personel techniczny. Pierwsze przesłuchanie odbyło się bardzo pobieżnie, może w czasie szczegółowych zeznań uda mi się coś uchwycić.

— Ano, szczęście Boże! — powiedział Gliński i wyciągnął do komisarza rękę na pożegnanie.

Gdy Borewicz zamknął za sobą drzwi gabinetu prokuratora, wzrok Glińskiego padł znów na zieloną oprawę akt. I znów dwie głowy nachylone blisko ku sobie zaczęły mu majaczyć przed oczyma. Gliński syknął jak pod wpływem bólu, zerwał się z fotela i nerwowym krokiem zaczął mierzyć obszerny gabinet. Tymczasem wizja przeniosła się z papierów na ciemne obicia ścian...

VIII

PRZYKRE ODWIEDZINY

Od kilku dni ciężka mgła smutku spowiła mieszkanie Skarskich. Zagadkowe troski Wika jakby osiadły w każdym kącie pokoi. Zdawało się, że ten smutek otulił meble, przyciemnił kolorystę ścian, zatruił powietrze. Śniadania i obiady mijały w milczeniu, każda rozmowa wydawała się zbyt głośna i niepotrzebna.

Rodzeństwo Skarskich zbyt silnie było do siebie przywiązane, by smutek i troska jednego mogły być obojętne dla dwojga innych. Józef mizerniał, sieć zmarszczek na jego czole zwiększyła się; przez kilka ostatnich dni Józef bardziej jeszcze posiwiiał. Roześmiana, rozszczebiotana Wanda przycichła jak trusia, tylko dużymi, czarnymi oczyma spoglądała na posępne twarze obu braci i martwiła się ich troskami, choć zupełnie były one jej nieznanne, kobiecą tylko intuicją odgadywała, że nie powinna o nic pytać. Wiedziała, że Wik wyjeżdża prawdopodobnie na długo, możliwe nawet, że do Warszawy nigdy nie wróci.

Przez kilka dni od chwili tragicznego zajścia w garderobie Wik nie wychodził zupełnie z domu, zamykał się w swoim pokoju, widocznie porządkował, segregował i niszczył swoje papiery, bo służąca rano znajdowała zawsze na ziemi cały stos drobnych strzępów zapisanego papieru. Józef i Wanda przekonali się, że Wik musi noce spędzać bezsenne, bo o każdej godzinie w nocy światło lampy przedzierało się przez nieszczelne ramy drzwi jego pokoju. Bezsenne noce, gorączkowy bieg myśli zmieniły Wika do niepoznania. Oczy jego podkrażyła niebieska obwódka, cera, dawniej śniada, przybrała ciemnożółtą barwę, która jeszcze silniej uwydatniała się na nieogolonej od kilku dni twarzy.

Jednego dnia Wik przecie wyszedł z domu. Długo bawił w mieście i wrócił w towarzystwie jakiegoś Żyda. Wanda mimo woli podsłuchiwała, że Wik sprzedaje meble ze swego pokoju. Targ trwał dość długo. Żyd nabył wszystko za niską cenę, jednak pod tym warunkiem, że dopiero po upływie pięciu dni może meble odebrać. Po sprzedaży Wik częściej wychodził z domu, bawił godzinę lub dwie na mieście i wracał, zamykając się ustawicznie w pokoju.

Po jednej z takich wypraw Wik wrócił do domu bardziej podniecony. W czasie obiadu Józef i Wanda zauważyli, że mgła smutku, która tak gęsto zasnuła oczy Wika, zaczyna powoli się przecierać, wzrok jego zaczyna zdradzać dawną chęć życia, a wolno zapalające się w oczach iskierki zaczynają wróżyć budzenie się dawnej energii.

Ta nagła zmiana usposobienia Wika stała się zaraźliwa i dla otoczenia. Józef stał się rozmowniejszy, wyraz trwogi i oczekiwania w oczach Wandy znacznie przygasł, a raz nawet, w czasie obiadu, Wanda głośno się roześmiała, wywołując tym zdziwienie obu braci. Tak dawno w tych ścianach nie rozbrzmiewał śmiech, że zdawało się, iż zmarł on na zawsze.

Po obiedzie poprosił Wik brata o chwilę rozmowy.

— Dziwisz się, Józefie, widząc mnie nieco bardziej ożywionego. Muszę ci zdradzić, co wpłynęło na tę zmianę usposobienia. Otóż paszport zagraniczny już mam w kieszeni, gotówka, jaką uzyskałem ze sprzedaży mebli, wystarczy mi przynajmniej na cztery miesiące skromnego życia. Napisałem do jednego ze swych dawnych kolegów, który bawi obecnie w

Konstantynopolu, list z prośbą, by wyszukał mi tam jakąś posadę. Dziś już otrzymałem pocztą dyplomatyczną odpowiedź. Posada dla mnie się znajdzie i to nie na najgorszych warunkach. Za dwa dni chcę wyjechać do Konstantynopola przez Czerniowce i Bukareszt.

Józef westchnął ciężko, widocznie innej spodziewał się wiadomości.

— Jeśli wypadki zmuszają cię istotnie do wyjazdu i to tak daleko, to jedź. Dla mego jednak spokoju, dla spokoju Wandy proszę cię o jedno. Jeśli tu, w Warszawie, odmawiasz mi wyjaśnienia powodów wyjazdu i palenia wszystkich mostów za sobą, to uczyn to przynajmniej tam, w Konstantynopolu. Napisz nam stamtąd, co skłoniło cię do zburzenia całej twojej przeszłości, do izolowania się od brata i siostry, którzy tak cię kochają...

— Słuchaj Józefie — przerwał mu Wik — nie zakrwawiajmy sobie wzajemnie serc. Wierzaj, że dziś potrzebuję, dużo silnej woli, energii i zaparcia się samego siebie, by z wami się rozstać. Wiem, że tam, nad Bosforem, nie znajdę tego ciepła, tych serc, jakie mnie tu otaczały. Tam w chwilach dla mnie ciężkich nie będę widział ani twoich dobrych, kochanych oczu, ani kochanych oczu Wandy, które tyle energii i wytrwałości we mnie wlewały. Dużo smutnych chwil będę musiał przeżyć, zanim pogodzę się z losem, może nawet dużo łez wyleję, które przed obcymi będę musiał skrywać.. Doskonale zdaję sobie sprawę, że nieludzko ciebie i Wandę męczę, nie podając wam żadnych przyczyn wyjazdu. Tłumaczycie to z pewnością ucieczką. Pod słowem honoru obiecuję ci jednak Józefie, że gdy przybędę do Konstantynopola, wyślę do ciebie list, który odsłoni przed tobą moją tajemnicę. Sam najlepiej osądzisz, czy miałem inną drogę wyjścia, jak opuścić na zawsze lub na szereg długich lat Warszawę.

Dalsza rozmowa między braćmi tyczyła się szczegółów wyjazdu Wika i jego planów pracy w Konstantynopolu.

Około godziny trzeciej po południu Józef wyszedł z domu, udając się do fabryki. Wik powrócił do jadalni, zaczął przekomarzać się z Wandą, chcąc w niej znów wzbudzić dawne wesole usposobienie. Wandę, którą zmiana usposobienia brata wprawiła początkowo rzeczywiście w dobry humor, wiadomość o jego nieodwołalnym wyjeździe znów zbiła z tropu, wreszcie ciężkie łzy zabłysły w jej oczach. Wik zaczął ją zabawiać opisem Konstantynopola, życiem w Turcji, zaczął jej przedstawiać, jak to dobrze będzie, gdy za rok ona z Józefem przyjadą do tego oryginalnego miasta i tak im tam dobrze będzie, że nie zechcą w żaden sposób wrócić do Warszawy.

Tok opowiadań Wika przerwał nagle wejście służącej, która oznajmiła, że jakiś robotnik ze *Złotego Ptaka* chce koniecznie z panem Wiktorem Skarskim pomówić.

Wik przybladł, kazał wprowadzić robotnika do swego pokoju.

Za chwilę w progu stanął Stanisław, trzymając w ręku swoją kolorową czapkę z napisem.

— Uszanowanie radcy dobrodzieju! Przyszedłem się w bardzo ważnej sprawie z radcą naradzić...

Wik podał mu rękę, poczęstował go papierosem i przybierając żartobliwy ton, spytał:

— Po jaką radę przyszedł Stanisław? Jeśli tylko potrafię, chętnie Stanisławowi coś doradzę.

— Radco dobrodzieju, coś mi niepięknie wygląda ta sprawa z tym morderstwem. Policja już drugi raz wszystkich nas słucha. Na jutro znów mam wezwanie, znowu męczyć mnie będą pytaniami, a co, a gdzie, a jak? Psiewiary mało ducha z człowieka nie wypytają. Pierwszy raz to ja nic nie mówiłem, że radca dobrodziej był tam koło tej garderoby, ale jutro, to nie wiem, co mam gadać, czy mam wychlapać wszystko przed nimi, czy nie? To sęk i oto właśnie radcę przyszedłem pytać.

Wik zagryzł wargi, zdawało mu się, że wpada w jakąś czarną, grząską maź i jakaś siła ciągnie go coraz głębiej na dno.

— Myślałem — opowiedział Skarski po pewnym namyśle — że w innej sprawie przysłuchacie się po radę. W tej kwestii nic wam doradzić nie mogę, macie, Stanisławie, zeznawać w policji, powiedzcie to, co sumienie wam każe. Każdą radę uważałbym za nakłanianie was do takich czy innych zeznań, a tego czynić mi nie wolno. Ale przecież musicie mieć wyrobione pewne przekonanie. I jak sądzicie, Stanisławie, czy ja zamordowałem tego człowieka w garderobie?

— Iii, co też radca dobrodziej gadają. Ani przez łeb mi nie przeszło, by radca w tego paskarza upchał nóż jak w siennik. Do tego trzeba było mocniejszej ręki... Znam radcę i wiem, że pan by muchy nie zabił, a cóż dopiero człowieka. Tylko panie radco, co z tą policją robić?

Wik czuł, że w rękach tego człowieka spoczywa jego los. Czuł, że te odwiedziny stanowią jakiś punkt zwrotny w jego sprawie, że od prymitywnego mózgu tego człowieka stojącego tu przed nim zależy albo otwarcie mu drogi wyjścia z ciężkiej sytuacji, albo decyzja tego człowieka postawi go na grząskim moczarze, z którego nóg nie będzie mógł wyciągnąć.

W głowie Wika myśli zaczęły tworzyć jakieś olbrzymie kłębowisko, w którym już sam się nie orientował. Powoli zaczął Skarski mówić dalej:

— Jeśli rzeczywiście jesteście przekonani, że ja nie jestem mordercą, w takim razie zupełnie niepotrzebnie prowadzić będziecie policję na mylne ślady, zeznając o mojej bytności za kulisami. Policja gotowa całą uwagę skupić na mojej osobie, a skorzysta z tego tylko właściwy morderca, który ujdzie sprawiedliwości. Wasze zeznania mogą zaciemnić sprawę, a nie wyjaśnić... Zresztą róbcie, jak chcecie... zeznawajcie, jak wam się podoba...

Wik tracił równowagę, czuł, że mówi bez związku. Zimny pot oblewał mu skronie, jedynym jego pragnieniem było znaleźć się jak najdalej od tego miejsca i od tego człowieka.

Stanisław odczuł, że jego wizyta nie jest zbyt miłą gospodarzowi.

— Ja też panie radco myślę, że policji nie trzeba mówić o wszystkim. Głowę bym dał sobie uciąć, że radca nikogo nie mordował, to i po co gadać... A jeszcze gotowi i mnie się czepić i rządcą teatru gotów mnie na zbity łeb wylać, że obcych wpuszczałem... Iii, lepiej zamknę gębę i nic nikomu nie powiem, co tam, niech se sami szukają tego cwaniaka. Przepraszam pana radcę, że tu wlałem z takim głupstwem, ale człowiekowi zawsze lżej na sercu i na żołądku, gdy się kogoś poradzi. Tak i żegnam pana radcę dobrodzieja i poproszę jakiego niepotrzebnego złotego na papierosa..

Wik szybko wyjął z pugilaesu dziesięć złotych i wręczył banknot Stanisławowi.

Po wyjściu gościa Wanda weszła do pokoju brata, chciała dalej nacieszyć się tak dawno niewidzianym, dobrym humorem Wika. Przynosząc mu herbatę, prosiła:

— Wik, mów mi jeszcze o Konstantynopolu, takie dziwne i ładne historie opowiadasz...

Wik nie odpowiadał. Wanda spojrzała na niego i omal nie upuściła tacy z filiżanką na ziemię. Wik siedział głęboko wsunięty w fotel, oczy jego patrzyły na nią zupełnie nieprzytomnie, jakby martwe. Wanda szybko postawiła herbatę na biurku, podbiegła do fotela, uklękła przed bratem, chwyciła go za rękę. Ręka była zimna jak lód.

— Wik powiedz, powiedz, co się stało! Wik, co ci jest? Wik, na Boga! Mów, co ci jest!

Wik siedział jak martwy w fotelu, oczy jego zdradzały ciągle zanik świadomości. Wanda wybiegła szybko do kuchni, chcąc natychmiast wysłać służącą po lekarza.

IX

PIERWSZE WYNIKI ŚLEDZTWA

Do pałacu Paca, gdzie mieszczą się biura prokuratury, zdążył szybkim krokiem pan Michał, właściwie Mozes Steinberg, właściciel jednego z najbogatszych kantorów wymiany przy ulicy Senatorskiej. Mimo że silny mróz szczypał tłuste i gładko wygolone policzki i kłuł ostrą igłą wielkie i mięsiste uszy bankiera, pan Steinberg spocił się silnie. Krople potu padały mu z czoła na lśniący bobrowy kołnierz. Szybko wtoczył się bankier na schody, przeleciał duży westybul, odnalazł woźnego, wręczył mu bilet wizytowy z prośbą, by zameldował go prokuratorowi Glińskiemu.

Prokurator musiał być tego dnia niezwykle zajęty, bo po godzinnym dopiero oczekiwaniu wpuszczono pana Steinberga do gabinetu szefa prokuratury. Bankier z jakimś niesłychanym nerwowym podnieceniem zaczął mówić:

— Ja, panie prokuratorze, chciałbym podać kilka szczegółów w sprawie morderstwa Mertingera, mego dobrego znajomego i przyjaciela. Otóż, panie prokuratorze, podać mogę, że tego samego wieczoru, w którym rozegrała się ta tajemnicza tragedia w garderobie *Złotego Ptaka*, Mertinger był u mnie. Omawialiśmy kilka ważnych interesów finansowych, między innymi Mertinger obiecał mi redyskont na kilka tysięcy złotych i około godziny ósmej chciał się ze mną pożegnać. Ja i żona zatrzymywaliśmy go, prosząc, by został na kolacji. Mertinger w żaden sposób nie dał się uprosić. Przed żoną moją tłumaczył się, że musi być w teatrze, ponieważ z kimś ze znajomych umówił się, mnie zaś na odchodnym szepnął poufnie: *Dziś wieczorem mogę przegrać zakład o pięć tysięcy złotych*. Co te słowa miały znaczyć, tego nie rozumiem, nie brałem ich zbyt poważnie i przypuszczałem, że Mertinger chce się wykpić, bo śpieszy się do przyjaciółki. Obecnie przyszedłem pana prokuratora uwiadomić o tych szczegółach, bo może akurat będą one panu potrzebne do wyjaśnienia niektórych ciemnych lub niezrozumiałych punktów śledztwa.

Gliński po tym zeznaniu bankiera przebiegał w myślach zebrane dotychczas punkty zbrodni, starał się do nich dołączyć nowe, teraz naprowadzone przez Steinberga, w żaden sposób jednak nie wiązały się one z sobą, zaciemniały jeszcze bardziej sprawę. Po chwili namysłu Gliński zapytał:

— A czy w czasie rozmowy z panem Mertinger nie objawiał żadnego zdenerwowania? Czy nie odniósł pan po jego zachowaniu lub słowach wrażenia, że wybiera się on na jakąś niebezpieczną eskapadę?

— Owszem, Mertinger był silnie zdenerwowany. Jeśli przez chwilę wierzyłem w zakład, to uważałem, że Mertinger prawdopodobnie po pijanemu założył się z kimś o jakąś poważną kwotę, a teraz nie wie, jak wyleźć z kabały. Wiadomość, jaką następnego dnia rano otrzymałem, uderzyła we mnie, jak grom z jasnego nieba...

— A jak tłumaczy pan sobie te jego słowa o wygranym zakładzie?

— Mam wrażenie, że zakład ten tyczył się kobiety. Oczywiście niczym pozytywnym poprzec tego wrażenia nie mogę, ale tak mi się zdawało. Mertinger był znanym kobieciarzem,

„praca” w tym metier była jego jedynym sportem. Zresztą nie wiem nic pewnego.

— A czy nie wiadomo panu, z kim Mertinger założył się o te pięć tysięcy złotych?

— Właśnie, że nie wiem, starałem się dojść, jednak bezskutecznie. Uważam, że gdyby dało się wyjaśnić, z kim Mertinger się założył i o co, to tajemnica tego morderstwa za jednym zamachem byłaby wyjaśniona.

— Hm, możliwe... Czy poza tym nic panu w tej sprawie nie wiadomo?

— Nic więcej nie wiem.

Gliński zanotował sobie kilka szczegółów z zeznań Steinberga i pożegnał bankiera.

Zaledwie beczkowata postać Steinberga znikła za drzwiami, gdy do gabinetu prokuratora wpadł jak torpeda komisarz Borewicz. Twarz jego jaśniała tryumfem.

— Miło mi donieść panu prokuratorowi, że sprawa morderstwa w garderobie numer trzy już jest wyjaśniona i że morderca lada chwila będzie w potrzasku, gdy pan prokurator tylko zechce podpisać nakaz aresztowania. A co, nie pięknie i nie chwacko się spisaliśmy?

Borewicz zacierał ręce z zadowolenia, a oczy jego promieniały radością. Mina Glińskiego nie wyrażała zbytnej wiary w słowa Borewicza.

— Doskonale! Ale niech mi pan komisarz opowie, w jaki sposób wpadł pan na trop tego draba.

— Łatwiej, niż pan prokurator przypuszcza.

Borewicz wyciągnął papierośnicę, powolnym ruchem zapalił papierosa, głęboko zaciągnął się dymem i wolno, cedząc słowo po słowie, jakby chciał podsycić jeszcze ciekawość prokuratora, mówił:

— Wczoraj po południu kończyłem powtórne przesłuchiwanie wszystkich artystów i personelu technicznego teatru. Żaden z nich nie powiedział nic nowego. Każdy zeznał, że o morderstwie dowiedział się już po fakcie i to jeden od dyrektora teatru, drugi od inspicjenta, trzeci od kolegi czy koleżanki.

Okolo godziny dziewiętej wieczorem byłem zmęczony jak pies i silnie poirytowany, bo zdawałem sobie o tej godzinie już sprawę z tego, że ponowne przesłuchania nie doprowadzą mnie na żaden ślad. Ostatniego przesłuchiwałem robotnika Stanisława Wójka. Chciałem jak najprędzej zbyć się tego człowieka, sądząc, że tyle wie, co i jego poprzednicy. Nagle zauważyłem, że na moje pytanie, czy kogo obcego spoza personelu teatralnego nie zauważył za kulisami, Wójek zaczyna się wahać i po „cwaniacku” stara się dać wymijającą odpowiedź. Natarłem na niego silniej, a drań przyznał się, że za paczkę papierosów i kilka złotych wpuścił znajomego urzędnika bocznymi drzwiami za kulisy. Twierdził, że nazwiska urzędnika nie pamięta, ale może wskazać, gdzie mieszka. Bezzwłocznie wsadziłem Wójka do paki i dziś o siódmej rano razem z agentami i z nim powędrowałem do miasta. Wójek szedł pewnie naprzód, my za nim o dwa kroki, wreszcie zatrzymał się przed kilkupiętrowym domem na Koszykowej. Weszliśmy na drugie piętro. Wójek wskazał mieszkanie tego urzędnika. Wróciliśmy na Daniłowiczowską. Wójka naturalnie nie wpuściłem z aresztu. Sam rozpocząłem badanie na własną rękę. Zebrałem najpierw informacje o owym urzędniku. Dowiedziałem się, że do niedawna był on wysokim dygnitarzem ministerstwa, potem, że przed kilku dniami podał się do dymisji i że uzyskał paszport na wyjazd do Konstantynopola.

Komisarz Borewicz przerwał w tym miejscu, powoli zapalił drugiego papierosa, grając w ten sposób na ciekawi Glińskiego.

— No i co dalej? zapytał zniecierpliwiony prokurator.

— Zaraz kończę. Po otrzymaniu tych informacji dałem natychmiast polecenie inwigilacji, by dyplomata nie zwiął nam do Konstantynopola, zanim znajdzie się w mokotowskim więzieniu. Potem udał mi się jeden eksperyment. Przebrałem się w cywilne ubranie, wziąłem ze sobą

znalezioną za kulisami rękawiczkę, zapukałem do drzwi kuchni pana dyplomaty i przez jego służącą przesłałem mu rękawiczkę z zapytaniem, czy to jego, bo znaleziono ją w biurze ministerstwa i przeze mnie odsyłają mu do domu. Służąca w tej chwili poznała rękawiczkę, stwierdziła, że to młodszego pana i podziękowała za zwrot. Widzi więc pan, panie prokuratorze, że wszystko w największym porządku i że ryba chwyciła haczyk. Teraz proszę o szybkie podpisanie nakazu aresztowania, bo ptaszek sprytny i łatwo może mi ludzi zmamić.

Gliński z zaciekawieniem wysłuchał opowiadania Borewicza.

— Rzeczywiście szczęście panu sprzyja, panie komisarzu. Dużo pozorów świadczy przeciwko pańskiemu dyplomacie. Ta rękawiczka, ten wyjazd do Konstantynopola, to przedostanie się za kulisy przy pomocy robotnika, to wszystko mówi, że pański dyplomata nie ma czystego sumienia. Nakaz aresztowania oczywiście wydam.

Prokurator wyjął z szuflady biurka formularz nakazu aresztowania, umaczał pióro w kałamarzu i zamierzał blankiet wypełnić.

— A jak się nazywa pański dyplomata, panie komisarzu?

— Wiktor Skarski.

— Jak? — spytał Gliński, zrywając się z fotela.

— Tak, Wiktor Skarki, radca ministerstwa spraw zagranicznych — odpowiedział spokojnie Borewicz.

Gliński długo wypełniał formularz. Litery imienia i nazwiska Skarskiego myliły mu się. Zniszczył jeden blankiet i nowy wypełniał. Nakaz aresztowania był wreszcie gotów. Gliński spokojnie wręczył go komisarzowi policji.

Gdy komisarz wyszedł z gabinetu z upragnionym dokumentem, Gliński roześmiał się głośno.

— Ach, więc tak chciał dojść do żony Mertingera... — powiedział głośno prokurator, a wizja pocałunku zaczęła go znów niezdolnie prześladować.

X

ARESztOWANIE

Wieczorem, za ledwie Józef przybył z biura do domu, już w progu powitała go spłakana Wanda szeregiem bardzo niemiłych wiadomości. Opowiedziała najpierw o odwiedzinach jakiegoś robotnika, po których Wik omdlał, następnie o tym, że dla przywrócenia Wika do przytomności zmuszona była wezwać lekarza, który oświadczył, że jej brat jest zupełnie nerwowo wyczerpany, że bezwarunkowo powinno się go izolować od codziennych zajęć, trosk i kłopotów, a najlepiej wywieźć do Zakopanego, gdzie w zupełnym spokoju może już po kilku miesiącach odzyskać równowagę. Lekarz przepisał Wikowi silną dawkę veronalu, by zapewnić mu sen.

Wiadomości te poważnie zaniepokoiły Józefa. Zdawał on sobie sprawę z tego, że Wik przeżywa jakiś przykry proces psychologiczny. Przypuszczenia naprowadzały go na to, że brat doznał jakiegoś bolesnego zawodu miłosnego, który wstrząsnął nim całym, ale nie sądził, że zawód ten pociągnie za sobą aż tak fatalne konsekwencje, o jakich przed chwilą słyszał od Wandy.

Cicho otworzył Józef drzwi i wszedł na palcach do pokoju brata.

Wik po zażyciu veronalu spał snem kamiennym, oddech jego był nierówny i jakby ciężkim wysiłkiem dla całego organizmu.

Józef podszedł bliżej do łóżka, nachylił się nad bratem. Teraz dopiero zauważył, jak strasznie Wik się zmienił i zmizerniał. Zdawało się, że twarz Wika zamiast skórą pociągnięta jest delikatnym pergaminem, pod którym nie krąży ani kropla krwi. Usta chorego były lekko rozchylone i wykrzywione jakimś bolesnym skurczem, policzki zapadły, a koło oczu utworzyła się gęsta sieć delikatnych zmarszczek. Gdyby nie ciężki oddech, mogłoby się zdawać, że na łóżku leży człowiek przez lat wiele schorowany, którego duch właśnie przed chwilą opuścił ciało.

— Co się z tym chłopcem dzieje? — myślał Józef, wysuwając się cicho z pokoju. — Jeśli nawet doznał jakiegoś sercowego zawodu, to w każdym razie nieprawdopodobne jest, by chłopak młody i jeszcze o tak lekkomyślnym i zmiennym usposobieniu jak Wik, tak dalece wziął go sobie do serca, by doprowadził aż do powolnej ruiny organizmu.

Przed godziną Józef był w głębi duszy jeszcze wielkim przeciwnikiem wyjazdu Wika za granicę. Uważał, że tkliwa natura brata zbyt przejęła się jakimś chwilowym niepowodzeniem, że niepowodzenie to w dodatku zbyt przetrzaskiwało i zbyt gwałtownie i zanadto nieogłędnie postąpił, zrzekając się posady w ministerstwie i postanawiając wyjechać na zawsze z kraju. Teraz jednak Józef pragnął szczerze, by Wik jak najprędzej wyjechał z Warszawy i znalazł się jak najdalej od swej tajemniczej tragedii. Niezmiernie bolało Józefa, że Wik zawsze względem niego otwarty, teraz zasklepił się w swoim wnętrzu i w żaden sposób nie chce wyjaśnić swej tajemnicy. Józef przypuszczał, że gdyby Wik wypowiedział się przed nim, niewątpliwie doznałby ulgi i pociechy. Namawiać jednak brata do wyznania Józef nie chciał.

Ciężkie, brzemienne w troskę myśli Józefa przerwała Wanda, przygotowując nakrycie do kolacji. Zręczna, wiotka jak młoda sarna, szybko poruszała się po jadalni, mimo pośpiechu nie

potracając o żaden przedmiot. Rozesała biały obrus, zręcznie i cicho stawiała talerze i sztuce. Od czasu do czasu załzawiony wzrok Wandy padał na Józefa i wtedy spotykała się z jego miękkim, ciepłym spojrzeniem – te dobre, kochane oczy Józefa przynosiły jej wielką ulgę w żalu i smutku.

Służąca przyniosła kolację. Józef i Wanda jedli w milczeniu i jakby pod przymusem. Jedno nie chciało się zdradzić przed drugim ze swą troską. Wanda mimo woli jednak skierowywała swój wzrok ku trzeciemu miejscu przy stole, które dziś było puste, i oczy jej znowu zaszyły łzami. Dłużej nie mogła się powstrzymać i wybuchła głośnym płaczem. Józef nie mógł jej pocieszyć, sam był zupełnie przybity, czuł, że jakaś straszna tragedia wdarła się przez ściany do tego spokojnego mieszkania, a nie umiał jej ani znaleźć, ani uchwycić, ani przełamać – był bezradny, bezsilny.

Wanda na chwilę powstrzymała swój żaloszny szloch i zwracając pełne oczy łez na Józefa, spytała:

— Słuchaj Józefie, ty przecież wiesz, jakie nieszczęście dotknęło Wika. Dlaczego wy taicie to przede mną, dlaczego naradzacie się po innych pokojach, a mnie nie chcecie nic powiedzieć? Przecież nie jestem dzieckiem. Sto razy silniej mnie boli, że wiem, iż tu dzieje się coś strasznego, a ja... ja... nie wiem co... Józus ulituj się nade mną i powiedz mi, co za nieszczęście zważyło się na nas! Ja przecież po nocach nie śpiam, tylko słucham, jak Wik biega po pokoju jak zwierzę w klatce, słucham, jak ty po nocach ciężko wdychasz i zasnąć nie możesz, a raz nawet zdawało mi się, Józus, że ty płakałeś...

Gęste łzy spadały z oczu Wandy. Józef wstał, podszedł do niej, wziął w swe dłonie jej zalaną łzami twarz i złożył pocałunek na jej miękkich włosach. Józef postanowił za wszelką cenę uśmierzyć żal i ból tego dziecka, postanowił nawet skłamać, byleby przerwać tę rozpacz dziecka...

Sam po sobie Józef wiedział, jak taka rozpacz boli, jak strasznie rwie serce i duszę na strzępy...

— Wandeczko, niepotrzebnie płaczesz i męczysz się. Jeśli koniecznie chcesz, ja ci powiem wszystko. Nie chcieliśmy nic przed tobą taić, przecież wiesz, jakie wielkie zaufanie mam ja i Wik do ciebie. Troski Wika są jednak czysto zawodowe, nie mówiliśmy tobie o nich, bo sądziliśmy, że ich nie zrozumiesz.

Wanda otarła łzy i prosiła:

— Powiedz, Józus wszystko, powiedz...

— Ależ dobrze, powiem ci wszystko. Otóż Wik, jako urzędnik, podjął się bardzo trudnej i delikatnej misji dyplomatycznej. Dużo pracy, trudu i zabiegów dla niej poświęcił, nawet finansowo dla tej sprawy poważnie się zagalopował, wierząc święcie w to, że jej wynik nie tylko ułatwi mu zrobienie kariery, ale zasłuży się tak dalece państwu, że nazwisko jego może stać się sławne. Znasz przecie Wika i jego olbrzymią ambicję. Tymczasem i plan Wika nie tylko, że się nie udał, ale nawet skompromitował go, posądzono go o karierowiczostwo, minister zarzucił Wikowi, iż starał się go skompromitować i utracić. Wynikła wreszcie między Wikiem a ministrem ostra bardzo wymiana zdań, po której Wik musiał porzucić posadę. Zrozumiesz Wandeczko, że dzisiejsza sytuacja Wika nie jest do pozazdroszczenia. Dobra wola jego została źle rozumiana, pozostał mu niesmak, wrogowie, przymusowa beczynność i dość pokaźne długi. Znając Wika zbytnią wrażliwość i nerwowość, zrozumiesz, jak dalece czuje się on złamany, sponiewierany i skopany, nawet nie staram się go pocieszyć, wiem, że sam w sobie musi to wszystko strawić i przeboleć.

— I dlatego chce nas opuścić i jechać do Konstantynopola? — spytała Wanda.

— Tak, dlatego. I nie powinnaś go Wandeczko od tego planu odwodzić. Widzisz, jak ja

trzymam się ostro, choć nie mniej od ciebie boleję na myśl o rozłące. Pobyt w Konstantynopolu uspokoi go i wzmocni. Twoje łzy i mój ból utrudniają mu tylko wyjazd, a nie trzeba jeszcze silniej go rozdrażniać. I tak jest dość obolały. Trzymaj się, Wandeczko, dzielnie i mocno i nie pokazuj mu swych łez. Za rok, dwa wróci z pewnością do Warszawy, a wtedy może powołają go znowu do służby w ministerstwie, może wtedy uznają, że spotkała go krzywdząca niesprawiedliwość. Nie ma Wandeczko sytuacji bez wyjścia i Wik wybrnie ze swych przykrości, tylko nie trzeba się zbytnio poddawać przeciwnostwom, tylko głowę trzymać do góry i śmiało patrzeć w oczy ludziom i życiu...

Wanda otarła łzy, uspokoiła się znacznie. Coraz rzadszy już szloch po silnym ataku płaczu wstrząsał nią od czasu do czasu. Józef pocałował siostrę w czoło, ona uśmiechnęła się do niego.

— Ot, tak Wandeczko! — taką to lubię moją siostrzyczkę, wesołą, uśmiechniętą, kpiącą sobie z chwilowych trosk — wesoło powiedział Józef.

Wanda pocałowała brata w rękę. Trwali chwilę w skupieniu. Józef odczuł, że swoim kłamstwem wielką ulgę sprowadził dla duszy i serca tego wrażliwego dziewczęcia.

Nagle rozległ się krótki, ostry dźwięk dzwonka elektrycznego u drzwi wchodowych. Dźwięk ten miał coś złowrogiego w sobie. Wanda zerwała się gwałtownie z krzesła i skierowała pytający wzrok na brata. Józef mimo spokoju przybladł, twarz jego drgnęła kilkakrotnie nerwowo.

Głos dzwonka odezwał się ponownie, jakby zniecierpliwiony, rozgniewany.

— Kto może być o tak późnej porze? — spytała drżącym głosem Wanda.

— Może lekarz zaniepokoił się stanem Wika i jeszcze raz przyszedł, a może telegram... — bez przekonania powiedział Józef.

Wanda ruszyła ku drzwiom, Józef został w pokoju, zasłonił rękami twarz, jakby chciał zasłonić się przed jakimś strasznym widokiem.

Wanda otworzyła zatrask.

Drzwi, jakby pchnięte silną sprężyną, otworzyły się i w progu stanął olbrzymiego wzrostu komisarz policji, dwóch posterunkowych i stróż domu. Wanda cofnęła się przerażona w głąb przedpokoju, zobaczyła, że komisarz i policjanci mają w rękach duże rewolwery. Jeden z posterunkowych z komisarzem weszli szybko do wnętrza, drugi z dozorcą domu zostali przed drzwiami.

— Czy pan Wiktor Skarski, były urzędnik ministerstwa jest w domu? — spytał ostro i krótko komisarz.

— Jest, jest, jest, tylko bardzo, bardzo chory... — powiedziała Wanda na wpół przytomna.

— To dobrze, że chory — odpowiedział rubaszenie komisarz, bo inaczej siedziałby w tureckim haremie, a nie na Mokotowie.

Wanda nie zrozumiała dowcipu brutalnego atlety.

— W którym pokoju Jest pan Wiktor Skarski?

Milcząco pokazała mu ręką na drzwi do pokoju brata. Komisarz policji i posterunkowy uchylił wskazane drzwi. Dla ostrożności nie zaraz weszli do pokoju, z daleka tylko wejrzeni do wnętrza i po krótkiej dopiero chwili, trzymając rewolwery w pogotowiu, przestąpili próg.

Wika zbudził tubalny głos komisarza. Na widok policji uniósł się na swoim łóżku. Przy refleksie zielonej lampy wyglądał Skarski bardzo schorowany i wymizerowany.

— Czy to pan Wiktor Skarski, były urzędnik ministerstwa? — spytał komisarz.

— Tak, to ja. Czy panowie do mnie?

— Tak, do pana i po pana — odpowiedział wesoło, drwiącym tonem komisarz, który wpadł teraz na widok Skarskiego w doskonały humor, po drodze bowiem obawiał się, że „klatkę”

zastanie próżną, lub że Skarski nie pozwoli się wziąć żywcem.

Szybko przystąpił komisarz do łóżka i, milcząc, podał Wikowi nakaz aresztowania. Wik rzucił oczyma na papier, przeczytał go w mgnieniu oka.

— Zaraz się ubiorę i pójdę z panem — słabym głosem powiedział aresztowany.

Zdradzając wielkie osłabienie, powoli Wik wstał z łóżka i chwiejnym krokiem zmierzał ku szafie, by wyjąć ubranie. Komisarz policji zażądał kluczy od szaf i biurka. Wik milcząco wręczył je. Rozpoczęła się rewizja już z udziałem oczekujących w przedpokoju policjantów.

Policja zabrała całą korespondencję Wika i szereg ważnych papierów urzędowych. Po kilkunastu minutach Wik był ubrany, ale tak osłabiony, że policjanci musieli mu pomagać wyjść. W korytarzu spostrzegł Wik płaczącą siostrę i śmiertelnie bladego Józefa. Przystanął, chciał do nich przemówić, nie mógł...

— Dobranoc państwu! — rzucił komisarz policji do Józefa i Wandy, nie zdając sobie nawet sprawy ze swej brutalności.

Nagle, gdy Wik mijał drzwi wejściowe, usłyszał za sobą jakiś dziwny, tępy łoskot jak gdyby padającego ciała. Szybko odwrócił głowę i zobaczył, jak Józef zemdlony osunął się na podłogę. Wanda padła na kolana i kryjąc twarz w ubraniu zemdlonego brata, wołała:

— Józus, ratuj nas, ratuj!

Wolno zszedł Wik ze schodów. Policjanci usadowili go w dorożce, podnieśli deszczochron. Przeciążona dorożka zaczęła się wolno toczyć po nierównym bruku.

XI

W WIĘZIENIU ŚLED CZYM

Było już blisko północy, gdy dorożka dowlekła się przed bramę więzienia śledczego. Policjanci pomogli Wikowi wysiąść, zadzwonili i po chwili wprowadzono aresztanta przez ciężką żelazną bramę i przez ciemne podwórze do źle oświetlonego przedsionka. Komisarz policji wszedł do kancelarii więziennej, by oddać papiery i nakaz aresztowania. Wik był tak zmęczony, że nie mógł utrzymać się na nogach – usiadł na schodach. Kilku strażników więziennych w popielatych ubraniach bacznie przypatrywało się nowemu i spokojnemu więźniowi. Jeden ze strażników spytał:

— Za walutę, czy za agitację, co?

Wik nie odpowiedział, nie słyszał pytania, nie wiedział, co się wokoło niego dzieje, zobojętniał na wszystko. W odpowiedzi wyręczył go jeden z policjantów.

— To nie waluciarz, to grubszy fisz. Morderstwo.

— Fiu, fiu — z podziwem patrzyli strażnicy.

— A kogo oporządził? — pytał dalej strażnik,

— Tego bogatego bankiera w kabarecie, co to gazety pisały...

— To dobrze musiał na nim zarobić.

— Wiadomo.

— Pójdzie pod dorażny — z głębokim poczuciem prawoznawstwa powiedział strażnik.

Wik nie słyszał tego dialogu. Jego myśli nie absorbował zupełnie własny los. Mózg jego przesywano ustawicznie pytanie, czy Wanda ocuciła Józefa?... czy jutro, po rozejściu się w mieście wiadomości o aresztowaniu, nie wydalą Józefa z fabryki?... czy potem głód i nędza nie zaczną się wgryzać w Józefa i Wandę?... O sobie Wik nie myślał zupełnie.

Po upływie pół godziny otworzyły się drzwi kancelarii i ktoś go zawołał po nazwisku. Wik wszedł do jasno oświetlonej kancelarii. Przy stole siedział jakiś wyższy urzędnik więzienny, obok komisarz policji, a naprzeciw stołu stał jakiś funkcjonariusz więzienny, prawdopodobnie klucznik, bo z olbrzymim pękiem kluczy złączonych mocnym rzemieniem.

Klucznik, widząc osłabienie Wika, podsunął mu krzesło. Wik usiadł, urzędnik wyjął jakiś formularz, zaczął go wypełniać i wypytywać nowego więźnia:

— Imię i nazwisko pana?

— Wiktor Skarski.

— Ile lat?

— Dwadzieścia osiem.

— Gdzie się pan urodził?

— W Warszawie.

— Czym pan jest z zawodu?

— Byłem do niedawna urzędnikiem państwowym, obecnie nie mam żadnego zajęcia.

— O co pan jest posądzony?

— Nie wiem, lepiej ode mnie wie to komisarz policji lub prokurator, który wydał nakaz

aresztowania.

— O zamordowanie bankiera Karola Mertingera — wyjaśnił szybko komisarz policji.

Urzędnik wpisał. Wik widział kaligraficznym pismem, świeżym, błyszczącym atramentem na białym papierze wypisane słowo: *Morderstwo*. To słowo olbrzymiało, olbrzymiało i olbrzymiało w jego oczach, aż doszło wielkością do rozmiarów pokoju, potem zaczęło całym ciężarem padać na niego. Przydusiło mu klatkę piersiową, ręce, nogi, głowę – Wik tracił oddech...

Straszny koszmar znikł, bo przystąpiono do rewizji, odebrano Wikowi wszystko z wyjątkiem chustki do nosa i kilku papierosów, wreszcie klucznik trącił Skarskiego w ramię.

— Proszę za mną — sucho rozkazał.

Wyszli na korytarz. Za Wikiem ustawili się strażnicy więzienni z karabinami i komisarz policji. Aresztanta przeprowadzono przez duży podwórzec więzienny, odemknięto znów jakąś ciężką, żelazną bramę, potem skierowano się w labirynt białych, skąpo oświetlonych odrutowanymi żarówkami korytarzy. Klucznik zatrzymał się przed jednymi z wielu dębowych drzwi, Wik mimo woli rzucił wzrokiem na nie. Zobaczył na brązowo lakierowanych drzwiach dużą białą cyfrę 3.

— Gdzie ja taką cyfrę na drzwiach widziałem? — myślał Wik.

Po chwili przypomniał sobie, że taką samą cyfrę, wypisaną na drzwiach białym lakierem widział tego pamiętnego wieczoru, gdy był za kulisami *Złotego Ptaka*, gdy schowany za starą dekoracją patrzył na drzwi garderoby, za którymi rozegrała się ta krwawa tragedia... I tam była ta sama trójka... Klucznik otworzył ciężkie drzwi, były tak ciężkie, że z trudem je uchylił i zwracając się do więźnia, powiedział sucho:

— To pańska cela, numer trzy, proszę wejść.

— Doskonały hotel w dzisiejszych, ciężkich czasach mieszkaniowych — zaśmiał się komisarz Borewicz.

Wykrycie i aresztowanie mordercy Karola Mertingera uważał komisarz Borewicz za jeden z najpiękniejszych dni w swej działalności policyjno-śledczej i to go wprawiło w doskonały humor. Dzisiejszy wieczór postanowił dobrze oblać w *Expressie*, gdzie oczekiwało go już kilku kolegów.

* * *

Wik szedł do celi, nie wiedząc, jak w ciemnościach ma się poruszyć. Chciał usiąść, a nie wiedział, czy jest w celi jakie krzeselko czy ławka. Powoli zaczął posuwać się od drzwi ku wnętrzu celi, macając przed sobą obu rękami. Odór w celi przyprawił go o mdłości. Nagle potknął się o coś i upadł na tapczan, na którym ktoś się poruszył.

— Kto tam? — usłyszał Wik w ciemnościach. Potem jakiś zirytowany głos zaczął dobywać się z tapczanu.

— O szóstej psie cholery człowieka budzą i już spać nie wolno, po nocach zaś sprowadzają hołotę z całego świata tak, że oka zmrużyć nie można. Hotel, czy co do diabła? — klął nieznajomy.

Wik stał, nie widząc, w którym kierunku ma iść. Nagle oślepił do błysk zapalki.

Nieznajomy zapalił ogarek świecy i badawczo patrzył na Wika, po chwili zmieniając już poirytowany ton, rzekł:

— Aaa, sąsiad, towarzysz niedoli i to wcale nieźle wyglądający... Nareszcie możliwy kompan. Przepraszam za powitanie, ale rozumie pan, rozmaita hołotę po nocy tu wprowadzają i

wyprowadzają, to człowiek oczywiście traci równowagę... Pana co najmniej przepraszam, dobrze, że pana tu umieścili, człowiekowi nie będzie tak diabelnie nudno, dotychczas albo sam siedziałem, albo takiego chama tu wpakowali, że słowa do niego człowiek nie odważył się przemówić, rozumie pan, takiego zawszonego chama.. Przecież to rozpacz.

Nieznajomy wstał z tapczanu, podszedł do Wika, wyciągnął do niego rękę:

— Nazywam się Salomon Tutnik — podobno jestem agitatorom komunistycznym i niebezpiecznym bolszewikiem, tak przynajmniej twierdzi prokurator – ja twierdę co innego. Wskutek tej rozbieżności zdań siedzę już pięć miesięcy, obiecali mi, że będę tak długo siedział, dopóki nie uzgodnimy zapatrywań...

Wik odruchowo dotknął wyciągniętej dłoni. Tutnik trzepał dalej z wybitnie semickim akcentem:

— Widzę, że pan zupełnie żadnych nie posiada rzeczy. To źle, bardzo źle. Z przynoszeniem tutaj bielizny i rzeczy z domu robią na tym oddziale dla „niebezpiecznych” trudności, lepiej było wziąć je zaraz ze sobą... byliby pozwolili je wziąć do celi... O, widzi pan, ja mam wcale porządną walizeczkę, nawet nesesor. Pan widocznie zapomniał, a może odebrali, co?

— Zapomniałem, — w chwili aresztowania nie zastanawiałem się nad tym.

— Uuu, to źle, bardzo źle. Należy pan do rzędu ludzi, którzy mają takie chwile, w których nie zastanawiają się. To źle, to bardzo źle. Ja jestem szczęśliwy, bo nigdy takich chwil nie mam. Ja we dnie i w nocy zastanawiam się nad wszystkim, dlatego nie mam niespodzianek.

Wik nie wiedział, w jaki sposób uwolnić się od potopu słów rozkrzyczanego semity. Tymczasem Tutnik zaczął pouczać Skarskiego o regulaminie więziennym, który, jego zdaniem, byłby znakomity dla zakładu tresury psów, ale nie dla więzienia śledczego. Zdaniem Tutnika, w dzisiejszych czasach więzienie śledcze nikomu ujmy nie przynosi, bo pięćdziesiąt procent ludzi tu umieszczonych jest niewinnych i opuści zakład bez skazy na honorze.

Widząc bezradność Skarskiego, Tutnik dopomógł swemu towarzyszowi rozstawić żelazne łóżko, przytwierdzone na ruchomych zawiasach do ściany.

Wik za wszelką cenę chciał, by towarzysz zamilkł. Każde słowo rozkrzyczanego Żyda uderzało go jak ostry młoteczek w obolały mózg. Żyd nie ustępował. Obiecywał Wikowi, że jutro ułatwi mu wysłanie korespondencji z więzienia do domu lub do towarzyszy i nabycie papierosów.

Wik czuł się bezbronny wobec ataku rozmowności. Mimo wstrętu, jaki budził w nim widok więziennej pościeli, Wik położył się na łóżku, udając, że śpi.

— Czyste musi pan mieć sumienie jak baranek, jeśli pan tak prędko zasypia — rzekł zjadliwie sąsiad i zgasił ogarek świecy.

Wik wsłuchiwał się w miarowy krok strażnika na korytarzu. — Myśli jego starały się usilnie rozwiązać pytanie, co też teraz dzieje się w domu?...

XII

ZEZNANIA W PROKURATURZE

W myśl obowiązującego regulaminu więziennego, Wika zbudzono o szóstej, potem musiał sam zaścielić łóżko, zatrzasnąć je ku ścianie. Tutnik kłął psie porządki, „reakcyjne” budzenie już o godzinie szóstej, „burżuazyjne” nawyczki ścielenia łóżek, poczym wszystko razem ochrzcił mianem chamstwa i wstecznictwa.

Wik zmarł w nocy porządnie, rano marzył o szklance gorącej herbaty, tymczasem o godzinie siódmej wniesiono do jego celi dwie miski jakiegoś brunatnego płynu, jakby wody po upraniu brudnych ścierek., Obok miski położono kawałek chleba. Wik nie zdobył się na tyle odwagi, by przełknąć brudny gorący płyn. Tutnik kłął zupę, ale wypróżnił całą miskę z wilczym apetytem, po chwili dopiero odezwał się do Wika:

— Panie, na ile lat zamknąłby sędzia tego kucharza, gdyby raz w życiu musiał jego zupę wypić — najmniej na rok, co?

— Trudno, więzienie nie restauracja... — spokojnie odpowiedział Skarski.

— Niech pan uważa, bo przez taką filozofię może pan z głodu umrzeć — rzucił cierpką uwagę Tutnik.

Rozmowa między obu więźniami nie kleiła się. Zniechęcony do towarzystwa Tutnik mierzył szybkimi krokami celę, co chwila wspinał się na zydeł i przez okno wyglądał na podwórze więzienne. Wik siedział pogrążony w swoich smutnych myślach. O godzinie dziesiątej usłyszał Skarski, że ktoś dobiera klucz do celi. Po chwili stanął w drzwiach klucznik, a za nim konwojent więzienny.

— Pana Wiktora Skarskiego wzywa prokurator — krótko zawiadomił klucznik.

Wika wyprowadzono na podwórze więzienne, po czym umieszczono go wraz kilku innymi więźniami w karetkę, której drzwi dokładnie zamknięto. Za pół godziny znalazł się Wik w pałacu Paca. Widząc schody i westybul sądowy zawałony publicznością, Wik podniósł wysoko kołnierz, palta, tak aby w nim schować twarz, kapelusz nacisnął głęboko na oczy, bał się bowiem, że w tym mrowisku może spotkać kogoś znajomego. Gorące wypieki paliły mu twarz, szedł jak po rozpalonej blasze.

— Panie, nie tak prędko! — upominał go konwojent, nie mogąc za więźniem nadążyć.

Wreszcie Skarski dobiegł do poczekalni przed biurem prokuratora. Prokurator Gliński w pierwszej chwili nie poznał Wika, tak źle wyglądał. Długą chwilę wpatrywać się musiał Gliński w twarz więźnia, zanim znalazł w nim podobieństwo do tamtego Wiktora Skarskiego w salonach Kleskich. Tamten w doskonale skrojonym fraku, pewny siebie; a ten nieśmiały, wyczerpany chorobą, ledwie trzymający się na nogach, zaniedbany, od tygodnia chyba nieogolony. Była chwila, w której Glińskiego ogarnęło współczucie, ale była to chwila krótka, przelotna, bo w myślach prokuratora znowu odżył tamten Skarski, szczęśliwy rywal o względy pani Hali. Wizja uścisku i pocałunku zarysowała się znów wyraźnie przed jego oczyma, źrenice Glińskiego przybrały odbłask zimnej stali.

— Pan Wiktor Skarski? — spytał wreszcie prokurator.

— Tak, ja — cicho odpowiedział Wik.

— Prokuratura oskarża pana o zbrodnię morderstwa na osobie bankiera Karola Mertingera, którą popełnił pan w ten sposób, że dnia dziewiątego lutego pchnięciem kindżału w serce zamordował go pan w garderobie teatru *Złoty Ptak*. Zaznaczam z góry, że jako oskarżonemu wolno panu uchylić się od odpowiedzi na moje pytania, wolno panu mówić nieprawdę, ale przy wymiarze kary będzie to panu policzone, jako okoliczność obciążająca. Czy przyznaje się pan do zbrodniczego czynu?

— Nie.

Oczy Wika zaczęły zdradzać jakiś niezwykle upór, wyraz twarzy wskazywał na powrót energii. Skarski podniósł głowę do góry, wpatrzył się prosto w oczy Glińskiego i wolno, stanowczo, i dobitnie powiedział:

— Nikogo nie zamordowałem.

Gliński się uśmiechnął.

— Czy dnia dziewiątego lutego to jest w dzień popełnienia tego morderstwa był pan za kulisami w kabarecie?

— Tak, byłem.

— Co pana skłoniło do tego?

— Zakład z kolegą, że dowiem się kim jest czerwony błazen.

— Czy mógłby mi pan wyjawić nazwisko tego kolegi?

— Nie.

— Nie? To dziwne... lecz mniejsza o to. A czy ten kolega nie nazywał się przypadkiem Karol Mertinger, bo postronnie dowiedziałem się, iż zamordowany z kimś się o coś założył?

— Karola Mertingera znałem tylko z widzenia, a nie osobiście, więc żadnych zakładów z nim robić nie mogłem.

— Może mi pan łaskawie wyjaśni, w którym miejscu stał pan ukryty, aby zdemaskować czerwonego błazna.

— Stałem w kącie, który mi wskazał jeden z przekupionych robotników *Złotego Ptaka*, naprzeciw garderoby czerwonego błazna.

— A więc naprzeciw garderoby numer trzy.

— Tak.

— Może przypomina pan sobie, czy w tym kącie, gdzie pan stał, były ustawione stare dekoracje?

— Tak przypominam sobie, były tam jakieś stare dekoracje.

— Czy możliwe jest, iż na jednej z tych dekoracji zostawił pan ślad całej swej dłoni?

— Tak, to jest zupełnie prawdopodobne, bo podparłem jakiś zapyłony kawał tektury czy płótna, który groził lada chwila upadkiem.

— A czy później był pan w garderobie numer trzy?

Na to pytanie Wik nie odpowiedział. Gliński uśmiechnął się zjadliwie,

— Bo widzi pan, panie Skarski, oprócz odbicia pańskiej dłoni na dekoracji, mamy jeszcze jeden bardzo ciekawy dowód pańskiej bytności w garderobie czerwonego błazna, mianowicie wyraźny ślad pańskich palców na drzwiach garderoby od strony wewnętrznej, który niezbicie świadczy o tym, że albo pan był we wnętrzu garderoby, albo ręką przytrzymał pan drzwi.

— A więc tak, byłem w garderobie.

— Co pan tam ciekawego zobaczył?

— Tego powiedzieć nie mogę.

— Dziwne, że pan panie Skarski, człowiek inteligentny, w dodatku prawnik z zawodu, daje tak tajemnicze odpowiedzi prokuraturze w chwili, gdy pan wie, że chodzi o zbrodnię

morderstwa. Chyba dokładnie zdaje pan sobie sprawę z tego, że jeśli o pańską skórę chodzi, to taka odpowiedź jest fatalna, a jeśli nie pan popełnił to morderstwo, w takim razie obowiązkiem chyba pana jest dopomóc nam do wyszukania sprawcy. Teraz ponawiam pytanie: Co pan widział wewnątrz garderoby?

— Tego powiedzieć nie mogę.

Gliński uśmiechnął się, wolno odsunął szufladkę biurka, rozwiązał jakiś przedmiot, opakowany w cienką bibułę i patrząc prosto w oczy Wika rozpakował parę nowych, skórzanych rękawiczek.

— Widzi pan te rękawiczki? Wczoraj w czasie rewizji zakwestionowano je u pana.

— Tak to moje rękawiczki.

— Otóż jedną z nich znaleziono w godzinę po morderstwie za kulisami. Numer rękawiczki zapisaliśmy, daliśmy nawet mały znaczek wewnątrz i komisarz Borewicz odniósł ją panu, jako rzekomo zgubioną w ministerstwie. Pan przyjął tę rękawiczkę, jako swoją własność. Jak to wytłumaczyć?

— Stwierdziłem już, że rękawiczki są moje i możliwe, że w czasie wczorajszej rewizji bez mojej wiedzy zostały mi skonfiskowane. Możliwe, iż jedną zgubiłem za kulisami, a nie w biurze ministerstwa.

— Przyzna pan jednak, panie Skarski, że człowiek w pełni równowagi ducha nie gubi rękawiczek, a jeśli gubi to podnosi je z ziemi, ewentualnie szuka ich. Pan prawdopodobnie w chwili popełnienia zbrodni nie był w pełni równowagi i albo się panu spieszyło, by opuścić miejsce, w którym pan w tym czasie przebywał i dlatego nie podniósł pan upuszczonej rękawiczki, albo też po zauważeniu zguby bał się pan jej poszukiwać, by nie zwrócić uwagi władz na swoją osobę.

Wik tę argumentację pozostawił bez odpowiedzi.

— A może mi pan łaskawie wyjaśni, czym mamy tłumaczyć sobie pańską niespodzianą prośbę o dymisję, którą pan wniósł zaraz następnego dnia rano po morderstwie, potem ogromnie gorączkowe starania pańskie w komisariacie rządu o paszport do Konstantynopola, wreszcie sprzedaż mebli kupcowi Szyi Rozenblattowi niżej nawet połowy ich wartości?

— Miałem przykrości rodzinne, i chciałem opuścić Warszawę, a więc i stanowisko w ministerstwie.

— Może cośkolwiek bliżej opowie mi pan o tych niesnaskach rodzinnych?...

— Zrozumie pan prokurator, że te niesnaski zachowam w tajemnicy, należą one do mego życia prywatnego.

— Jeśli pan sobie życzy, to nie nalegam na odpowiedź... ale jeszcze raz ośmielam się spytać, czy wobec tylu nagromadzonych faktów, które przeciw panu świadczą, nadal twierdzi pan stanowczo, że nie pan zamordował Karola Mertingera?

— Stanowczo twierdę, że nie ja zamordowałem Mertingera, człowieka tego nie znałem i nie miałem powodu go mordować!

— Nie miał pan powodu mordować... — cedził przez zęby Gliński, wpijając w Wika swoje złe oczy, a potem wolno i dobitnie, kładąc akcent na każdej głosce spytał: — A czy powodem tym nie mogła być choćby pani Halina Mertingerowa?

Wik zerwał się z krzesła. W pierwszej chwili postąpił ku Glińskiemu, jakby się chciał rzucić na niego, potem siły go opuściły, zatoczył się i padł znowu na fotel.

Prokurator nacisnął guzik dzwonka. Wszedł konwój. Gliński wydał krótki rozkaz:

— Odprowadzić tego pana z powrotem do więzienia,

XIII

ZAPALENIE MÓZGU

Po aresztowaniu Wika mieszkanie Skarskich przemieniło się w istny klasztor milczenia. Wandzie zdawało się, że jakiś demon z maską tajemnicy na twarzy zaklął ściany domu, w którym oni żyją, zsyłając coraz to nowe nieszczęścia na ludzi, którzy nigdy nikomu nic złego nie uczynili.

Po aresztowaniu Wika, przy pomocy służącej udało się Wandzie doprowadzić starszego brata na chwilę do przytomności. Gdy położono Józefa do łóżka, stracił on ponownie przytomność, a coraz silniejsza gorączka zaczęła go trawić. Chory leżał zupełnie bezprzytomny, od czasu do czasu posuwał automatycznie rękami po kołdrze, potem wznosił je wysoko, jakby łapał w powietrzu niewidzialne płatki lub nitki. Na bladą twarz Józefa wystąpiły ceglaste rumieńce, oczy nabrały bezmyślnego wyrazu i zdawały się być tak przeźroczyste jak szkło. Józef drzemał, potem gwałtownie zerwał się i krzyczał przeraźliwie:

— Ja wam go wydrę! Pod szubienicą... Wik, Wik! Ja wam go nie dam, ja... ja...

Krzyk Józefa przechodził następnie w jakieś mętne bredzenie, wreszcie już słów Wanda nie rozumiała, słyszała tylko niewyraźny bełkot.

Tej strasznej nocy Wanda, ani na chwilę nie mogła spać. Józef zrywał się, chciał gdzieś biec, krzyczał, by go puścić na ulicę, to znów chciał ukryć się pod łóżkiem, krzycząc, że policja przysłała po niego. Nad ranem dostał Józef silnych torsji. Wanda doczekała się wreszcie świtu i otwarcia bramy i zaraz wybiegła po lekarza.

Była godzina siódma rano, gdy Wanda znalazła się na Marszałkowskiej. Szła jak błędna. Co chwila ktoś z przechodni ją potraçał lub kilkakrotnie z nią się musiał mijać. Starła się jak najszybciej dobiec na Królewską. Na rogu Alei Jerozolimskich gromada chłopców sprzedawała już ranne gazety. Do uszu jej doleciał wyraźny, monotony dyszkant łobuza:

— Aresztowanie mordercy bankiera Mertingera. Wysoki urzędnik ministerstwa mordercą!

Coś ją tknęło. Mimo pośpiechu zatrzymała się i kupiła gazetę. Na pierwszej stronie zobaczyła grubymi literami wydrukowane nazwisko brata. Gazeta wypadła jej z rąk na chodnik, czuła, jak jakaś ciężka lawina szła wolno w kierunku jej serca. Nogi zaczęły się pod nią uginać. Wanda szła jednak dalej jak automat. Twarz jej musiała wyrażać straszne cierpienie, bo kilku przechodni obejrzało się za nią. Chciała odruchowo biec z powrotem do domu. Kilka sekund zatrzymała się nawet na rogu Złotej, lecz myśli jej skierowały się znów ku choremu. Biegła dalej tak szybko, że chwilami traciła oddech. Gdy nacisnęła wreszcie dzwonek w mieszkaniu lekarza, przebiegło jej przez myśl:

— A może lekarz nie przyjdzie, gdy dowie się, że to do Skarskich. Może nawet nikt z lekarzy w Warszawie nie zechce przyjść, gdy się dowie, że chory jest bratem mordercy, którego w nocy aresztowano. Wtedy może Józus umrze bez pomocy...

Wandę wpuszczono do przedpokoju. Pokojówka oświadczyła, że doktor się ubiera, ale jeśli wypadek rzeczywiście nagły, to w niespełna godzinę będzie u chorego. Wanda z trwożą

powiedziała pokojówce nazwisko i adres. Gdy ta zapisywała, Wanda niespokojnie patrzyła na nią, czy nie przerwie ona pisanie i brutalnie nie powie:

— Doktor do rodziny mordercy nie pojedzie!

Ale pokojówka pisała spokojnie. Wanda odetchnęła.

Gdy znalazła się z powrotem na ulicy, doznała ulgi. Jakby jakiś olbrzymi ciężar spadł jej z serca, jakby dokonała czegoś niezwykle trudnego, i myśli jej jakoś składniej zaczęły się wiązać ze sobą, ognisko ich przenosiło się teraz zwolna z Józefa na Wika.

Wanda wierzyła święcie w to, że Wik nie mógł dokonać morderstwa. Znała zbyt dobrze wrodzoną łagodność i dobre serce brata.

Wika wplątali z pewnością w jakąś sieć intryg — myślała Wanda. Po co by on mordował tego bankiera? A może i ten bankier chciał zrobić to samo, o czym mówił Józef i może...

Ale odrzucała tę myśl.

Nie, to niemożliwe — kombinowała naiwnie dalej, Wik byłby z pewnością się z nim porozumiał i razem byliby to zrobili. Wik byłby mu nawet z pewnością dopomógł do tego. Przecież, nigdy nie był on o nic zazdrosny. Nie, to wykluczone, by Wik dla jakiejś sprawy biurowej kogoś zamordował.

Jedynie prawdopodobne wydawało się Wandzie, że Wika niecnie posądzono, może nawet wzięto go za kogoś podobnego. Przekonanie o niewinności brata stało się dla Wandy wkrótce takim pewnikiem, że przypuszczała, że Wik za godzinę lub dwie będzie z powrotem w domu i sam osobiście wszystko jej wytłumaczy. Oczywiście, że Józef, gdy tylko usłyszy o powrocie brata, natychmiast wyzdrowieje, i w domu znów zapanuje spokój. Ta myśl tyle radości wlała w duszę Wandy, że bezwiednie się uśmiechnęła. W bramie domu jednak wesoły nastrój ją opuścił. Widok dozorczy domu przypominał jej wczorajszą tragedię. Prędko biegła po schodach, bojąc się by ktoś z lokatorów jej nie spotkał, z pewnością spostrzegłaby na jego ustach drwiący uśmiech. Czuła się szczęśliwa, gdy wreszcie dobiegła do drzwi swego mieszkania i nacisnęła guzik dzwonka.

Przy łóżku Józefa czuwała służąca. Chory leżał na wznak i oddychał ciężko. Po ruchu klatki widać było jak trudno powietrze przedostaje się do jego płuc. Niezdrowe rumieńce nie znikły z twarzy. Od czasu do czasu Józef otwierał powieki i nieprzytomnymi oczyma badał sufit, jakby widział na nim coś takiego, co głęboko pochłaniało jego uwagę. Nocna maligna i zrywanie się z łóżka widocznie zmęczyły go. Leżał teraz bez ruchu, a tylko od czasu do czasu przyciskał silnie rękoma głowę. Gdy Wanda weszła do pokoju Józefa, zaczął coś szeptać. Siostra szybko nachyliła się nad nim. Z cichego, niewyraźnego szeptu zdołała zrozumieć tylko dwa słowa: *Wik i boli...*

Długo nie mogła Wanda doczekać się lekarza. Siedziała cichutko u nóg chorego i wpatrywała się w tarczę ściennego zegara. Wskazówki posuwały się tak wolno, iż Wandzie zdawało się, że wieczność cała upłynęła od tej chwili, gdy była w mieszkaniu lekarza.

Około godziny dziesiątej przybył lekarz do chorego. Konsultacja trwała dość długo. Wanda nie mogła doczekać się, by lekarz opuścił pokój Józefa. Po szczegółowym zbadaniu chorego, doktor kazał bezzwłocznie zapuścić żaluzje w pokoju, tak aby światło nie raziło oczu pacjenta. Następnie lekarz kazał posłać do apteki po taką ilość lodu, by choremu można zmieniać co kilka godzin okład na głowie. Każde polecenie lekarza starała się Wanda głęboko wbić sobie w pamięć. Gdy lekarz skończył swoje długie dyspozycje, spytał:

— Czy chory ma żonę lub kogoś, kto mógłby zająć się poważnie jego pielęgnacją?

Wanda wbiła oczy w ziemię.

— Ja będę czuwać nad bratem. On oprócz mnie nie ma nikogo.

Przez chwilę lekarz patrzył na drobną postać dziewczyny.

— Za godzinę przyjdzie tu pielęgniarka. Ja wieczorem zajrzę jeszcze go chorego. — Coś miękkiego zadźwięczało w głosie lekarza. Wanda spojrzała na niego z wielką ufnością. Duże łzy zabłyśły w jej oczach.

— Panie doktorze, czy brat bardzo chory?

— Tak, bardzo chory. Może się myłę, bo na razie nic pewnego ustalić nie mogę, zdaje mi się jednak, że nieprędko wstanie z łóżka. Ale proszę się nie martwić. Łzy i rozpacz nigdy nie leczą chorób, tylko energia i równowaga u najbliższych.

Wanda szybko otarła łzy, a twarzy swej starała nadać wyraz spokoju.

— Ale na co właściwie brat jej chory?

— Na zapalenie mózgu.

XIV

TAJEMNUCZA PANI

Tydzień minął od owej tragicznej nocy, w której policja aresztowała Wika. Wanda dzień i noc czuwała przy Józefie, dając się zaledwie przez cztery godziny na dobę zastąpić pielęgniarkę. Od kilku dni opanował ją kamienny spokój i jakby uczucie odpowiedzialności za zdrowie Józefa i za los Wika. Doktor Kuzera odwiedzał Józefa dwa, a czasem nawet trzy razy dziennie. Wizyt lekarskich nie traktował zawodowo. Zwykle po zbadaniu stanu zdrowia pacjenta, przechodził lekarz do jadalni i tam dłuższą odbywał konferencję z Wandą. Wanda po tygodniu obdarzała już pełnym zaufaniem Kuzerę. Zwierzyła mu się z nieszczęścia, jakie dom ich nawiedziło i z dnia na dzień odkrywała w lekarzu coraz więcej podobieństwa do Józefa. Zdawało się jej, że Kuzera ma ten sam dobry uśmiech co Józef, to samo ciepło w oczach i tak samo umie do niej miękko przemawiać jak Józef.

Kuzera rzeczywiście przejął się bardzo losem nieszczęśliwej dziewczyny. Jednego dnia sam nawet zaproponował Wandzie, że odwiezie ją do gmachu sądu i dopomoże jej do uzyskania pozwolenia na widzenie się z Wikiem. Pojechali. Wprawdzie prokurator nie pozwolił Wandzie na odwiedzinę, ale Wanda uzyskała tyle przynajmniej, że Gliński pozwolił przynosić Wikowi do więzienia żywność, bieliznę i papierosy. Od chwili tego pozwolenia Wanda codziennie przygotowywała sporą paczkę, którą służąca o jednej porze zanosila do więzienia. Jednego dnia służąca przyniosła małą kartkę, zapisaną pismem Wika. Radość Wandy nie miała granic.

Wik pisał:

Kochany Józefie!

Nie martw się, jestem silny, przetrzymam wszystko. Myśl tylko o sobie i o Wandzie.

Dziękuję ci za codzienne posyłki. Sprawa moja przeszła wreszcie z rąk prokuratora Glińskiego do sędziego Łubieńskiego, człowieka bardzo rozumnego i życzliwego mi. Nie staraj się widzieć ze mną, najwyżej przyślij tu Wandę. Więcej pisać nie mogę, nie chcę narazić Ciebie, a i posłańca, na nieprzyjemności.

Wik.

Wanda pokazała kartkę Kuzerze. Obydwoje postanowili natychmiast starać się o zezwolenie odwiedzenia aresztowanego. Łubieński, sędzia dla spraw specjalnej wagi, przyjął Wandę i lekarza bardzo życzliwie i uprzejmie. Oświadczył im, że sprawa Wiktora Skarskiego jest poważna, że śledztwo nie może się toczyć w tak szybkim tempie, jakby tego on i Skarski sobie życzyli, że wyjaśnienie jej potrwa z pewnością jeszcze kilka tygodni, ale Wanda może – jeśli tylko pragnie – odwiedzać brata każdego dnia o oznaczonej godzinie. Sędzia Łubieński był nawet

na tyle uprzejmy, że wystawił Wandzie stałą przepustkę do więzienia.

Po wyjściu z biura sędziego, Kuzera zauważył:

— Ten Łubieński to doprawdy miły człowiek. Poważny, spokojny i bardzo uprzejmy. Widać, że sprawy brata pani nie bagatelizuje, lecz stara się całkowicie wyjaśnić. Do tego człowieka mam zaufanie.

Wanda z zapałem potakiwała słowom przyjaciela.

Gdy znaleźli się przed bramą więzienną, doktor Kuzera oświadczył Wandzie, że poczeka na nią na ulicy w dorożce i surowo nakazał jej, by bratu nic nie mówiła o chorobie Józefa. Wiadomość o chorobie może odebrać Wikowi siły i równowagę, które tak mu są potrzebne w tej ciężkiej dla niego chwili.

Odwiedziny Wandy u Wika nie trwały długo. Zarząd w więzieniu zgodził się tylko na dziesięciominutową rozmowę.

Wik wyglądał strasznie. Gęsta, szcecinowata broda nadawała jego twarzy wyraz zaniedbania i brudu. Twarz skurczyła się jakoś i zmaląła, kości policzkowe silnie się uwydatniały, rzucając czarny cień na policzki. Koło ust Wika utworzyły się dwie głębokie fałdy. W oczach jednak więźnia tliła się energia i jakiś niezłomny upór.

Widząc tak zmienionego brata, Wanda nie mogła powstrzymać łez. Wik długo gładził jej włosy, pocieszał ją, że jego sytuacja w więzieniu nie jest tak rozpaczliwa, że wkrótce wyjdzie na wolność. Wreszcie prosił Wandę, by wpłynęła na Józefa, aby nigdy nie odwiedzał go w więzieniu, jeśli zaś będzie potrzebował obrońcy, to da Józefowi znać przez tego samego posłańca, który pierwszą kartkę doręczył.

Znacznie uspokojona wróciła Wanda z Kuzerą do domu, postanawiając co drugi dzień odwiedzać Wika w więzieniu.

Zaraz następnego dnia w zdrowiu Józefa niepomyślny nastąpił zwrot. Chory tracił znów przytomność, gorączka się wzmagала. Doktor Kuzera przed Wandą nadrabiał miną, ale poważnie obawiał się o życie pacjenta. Wanda nie dała się sztucznym humorem lekarza wprowadzić w błąd. Wpatrywała się ustawicznie w twarz nieprzytomnego brata, potem w oczy lekarza i odgadywała niebezpieczeństwo.

— Czy będzie żył? — pytała, patrząc uporczywie w twarz przyjaciela.

Doktor Kuzera nic nie odpowiedział.

Tego dnia przynajmniej cztery razy był lekarz przy łożu chorego. Ku wieczorowi gorączka nieco opadła. Józef nie odzyskiwał jednak przytomności. Doktor Kuzera, odchodząc, prosił Wandę, by bez względu na porę nocy bezzwłocznie telefonicznie go zawiadomiła, gdyby gorączka choć trochę się wzmogła lub chory zaczął bredzić.

Po wyjściu lekarza Wanda popadła w jakiś stan odrętwienia. Siadła obok okna, patrząc bezmyślnie na fantastyczne białe motywy, które mróz rzeźbił na szybach. Zmęczenie, szereg niedospanych nocy zaczęły powoli odbijać się na jej młodym organizmie. Takie chwile bezwładności i bezmyślności teraz coraz częściej przykuwały ją do krzesła. Potrzebowała całej siły woli, by nie dać się ogarnąć senności. Doskonale w tej chwili wiedziała, że okład z lodu na głowie brata trzeba zmienić, a przecież nie miała siły, by podnieść się z krzesła. Czowała, że nogi jej są tak bezwładne, jakby wyciosane z ciężkiego drewna i że bezwładność ta powoli przechodzi z nóg na jej ręce i na nią całą. Jeszcze raz spróbowała wstać – nie mogła...

Jak długo odrętwienie trwało z tego Wanda nie zdawała sobie sprawy. Zbudził ją ostry głos dzwonka. Ociężale powlokła się do przedpokoju. Nie zastanawiając się nawet nad tym, kto o tak późnej porze przybywa, Wanda otworzyła drzwi. Do przedpokoju weszła cicho jakaś wysoka, zgrabna kobieta z twarzą osłoniętą gęstą czarną woalką. Nieznajoma cichym i jakby nieśmiałym głosem spytała:

— Czy mogłabym pomówić z bratem pana Wiktora Skarskiego?

— Józef jest ciężko chory — odpowiedziała zaambarasowana Wanda.

— Chory... — powtórzyła jak echo nieznajoma i już zmierzała z powrotem ku drzwiom, gdy nagle zatrzymała się przy wyjściu:

— A pani może jest siostrą pana Wika?

— Tak.

Nieznajoma chwyciła ją za rękę. Wanda przeraziła się ogromnie, starała się wysunąć rękę z uścisku nieznajomej, ta jednak coraz silniej przytrzymała rękę i prosiła:

— Ja z panią koniecznie muszę kilka słów pomówić — niech pani mi nie odmówi tej łaski, koniecznie, koniecznie... Tylko dwa słowa.

Wanda nie mogła zorientować się czego nieznajoma chce od mej. Poprosiła ją jednak do pokoju Wika.

Nieznajoma usiadła, odsłoniła gęsty czarny woal. Teraz dopiero Wanda spostrzegła, że nieznajoma ma oczy czerwone od płaczu.

Ani jednym słowem, ani gestem nie starała się Wanda przerwać płaczu nieznajomej. Jej dziewczęca subtelna natura odczuła natychmiast, że tą panią jakieś wielkie nieszczęście musiało dotknąć, że łzy przynoszą jej ulgę. W ostatnich dniach sama doświadczyła na sobie tego, ile ulgi i spokoju dają łzy. Spokojnie czekała Wanda, aż nieznajoma pierwsza przemówi. Tajemnicza pani po chwili uspokoiła się, otarła łzy, przytknęła potem ręką chusteczkę do drobnych, pięknie wykrojonych ust i tłumiąc szloch, zaczęła się usprawiedliwiać.

— Niech pani wybaczy to nagle najście. Niech pani wybaczy to dziwne moje zachowanie, ale od kilku dni coś mnie pędziło tutaj. Czułam, że tyłk o w d omu p aństwo doznać mogę ulgi i ukoić swój ból. Bardzo, bardzo jestem nieszczęśliwa.. Niech mi pani wybaczy, że nawet nie powiedziałam pani swego nazwiska. Nazywam się Halina Mertinger, tak Mertinger. Dziwi to panią?

Gdy Wanda usłyszała nazwisko nieznajomej, zerwała się z fotela, a źrenice jej oczu aż się rozszerzyły ze zdziwienia.

— Mertinger... Mertinger... ależ to człowiek, o którego zamordowanie posądzono Wika. Czego sobie pani od nas życzy. Józef chory, ja nic nie wiem... — szeptała przerażona.

Pani Mertinger lekko dotknęła swoją dłonią drobnej ręki Wandy.

— Niech się pani nie gniewa. Niech pani pozwoli wytłumaczyć sobie... Rozumiem zdziwienie pani widokiem żony zamordowanego, która zawoalowana wchodzi pod dach tego, który ma być rzekomo mordercą jej męża. Pani sądzi, że może przyszłam się zemścić, że może przyszłam po to, by nacieszyć się waszym smutkiem i waszą tragedią? Nie, nie to jest celem mojej wizyty. Przyszłam tu, by u was szukać choć trochę pociechy, choć odrobiny światła w tej strasznej ciemnicy, jaka od tylu dni mnie otacza. Was dotknęło jedno nieszczęście, mnie dwa: tragiczna śmierć męża i straszna wiadomość o aresztowaniu pana Wiktora którego ja...

Pani Hala nie dokończyła, bo znów silny szloch zaczął ją wstrząsać. Wanda patrzyła bezradnie, jeszcze nie rozumiała czego pani Mertinger od niej chce.

Pani Halina wreszcie uspokoiła się nieco i dalej zaczęła mówić:

— Ja wiem doskonale, że pan Wiktor nie splamił się krwią mego męża. Mogę przysiąc, jeśli by ktoś ode mnie tego wymagał, że Wik jest niewinny, choć żadnych na to dowodów nie posiadam. Intuicja kobieca ciągle mi mówi: to nie on, to nie on. W dzień pogrzebu męża we śnie widziałam mordercę Karola.. Widziałam wtedy jego twarz tak wyraźnie, jakbym widziała ją na jawie. Ta twarz była straszna, jakaś zielono-żółta jak jesienny zgniły liść, w oczach mordercy tliła się nienawiść, jego twarz wykrzywiał ohydny grymas. Widziałam wyraźnie, jak chwycił jedną ręką Karola za gardło, a w drugiej błysnęła klinga noża. Ten sen był straszny, zbudziłam

się obłana zimnym potem. Od tego czasu na sekundę powiek zamknąć nie mogę, ta twarz prześladowuje mnie ciągle, przed nią aż tu uciekłam.

Z oczu pani Hali przebierał rzeczywiście strach. Nieruchomo wbiła wzrok w ciemny kąt pokoju, jakby tam widziała straszny koszmar. Pierś jej zaczęła ciężko falować, wpiła kurczowo paznokcie w poręcz fotela i jakimś zmienionym głosem krzyczała:

— Tak, tak, to nie on, nie Wik, to tamten, ten, ten — i palcem wskazywała w ciemny kąt pokoju.

Dreszcz strachu przeszedł Wandę. Nagle i jej zaczęła udzielać się wizja Mertingerowej i przed jej oczyma zaczynała się wylaniać z kąta jakaś potworna zielona, obrzękła twarz z wyrytym piętnem zbrodni. Wandę ogarnął taki lęk, że zaczęła drzeć jak liść. Nagle z drugiego pokoju usłyszała cichy jęk brata, Szybko podniosła się z fotela i pobiegła do chorego.

Józef leżał bezwładny, przyciskając odruchowo głowę rękami. Oczy jego były nieco przytomniejsze, silne wypieki na twarzy przygasły. Wanda zmieniła okład na głowie Józefa i zmierzyła gorączkę. Gorączka silnie spadła. Odetchnęła z ulgą. Przyciemniła światło i wróciła do pokoju, w którym zostawiła panią Mertingerową.

Pani Hala siedziała nieruchomo w fotelu, po wyrazie jej twarzy i po oczach poznać można było, że już opanowała nerwy i że czuje się spokojna.

— Niech mi pani wybaczy poprzedni atak. Teraz będę się streszczać i postaram się w spokoju przedstawić pani swoją prośbę. Po morderstwie męża prześladowają mnie straszne wizje. W domu jestem osamotniona, oprócz służby nikt się mną nie zajmuje. Po aresztowaniu pana Wiktora Skarskiego rzucono na miasto pogłoskę, że pan Wik był moim kochankiem i że za moją wiedzą i zgodą na morderstwo popełnił. Pani jest zbyt młoda i dlatego nie wie pani, co znaczy taka nieuchwytna, bez początku i źródła, plotka, która ludzi najuczciwszym łamie i niszczy. Oby los był dla pani łaskawszy, oby panią ten niszczycielski mikrob nigdy nie dotknął. Po śmierci męża nikt u mnie nie był, nawet te przyjaciółki, które nie tak dawno jeszcze co minutę zapewniały mnie o swoim przywiązaniu, nie raczyły się spytać, czy żyję. Chodzę sama po olbrzymim mieszkaniu, a przede mną ciągle chodzi i snuje się ta straszna wizja mordercy. Boję się, że wkrótce mózg mój odmówi posłuszeństwa, że zacznę się obłąd. Mąż zostawił mi dużą fortunę, chciałabym wyjechać, ale nie mogę, coś mnie tu trzyma, coś mi mówi, że nie wolno mi wyjechać, dopóki pan Wiktor jest w więzieniu i że ja mu w czymś będę pomocna. Niech pani spełni moją prośbę, niech mi pani pozwoli przychodzić do was. Ja się pani z pewnością do czegoś przydam. Niech się pani zgodzi, abym zastąpiła panią przy łóżku chorego, ja jestem bardzo cierpliwa i nie męczę się prędko. Ja dużo mogę pomóc. Niech pani nie odmawia mej prośbie. Ja się boję wracać tam do tych pokoi i do tych strasznych myśli.

W oczach pani Hali była taka silna obawa, by jej prośbie nie odmówiono, że Wandę ogarnęła jakaś wielka litość nad tą nieszczęśliwą kobietą. Cicho przysunęła się Wanda do pani Hali i delikatnie objęła ją ramieniem. Pani Hala skłoniła głowę na ramię dziewczyny i płacz, ten najlepszy ukoiciel bólów ludzkich, wy dobył się z jej piersi.

— Tak dawno nie zaznałam dobroci ludzkiej — skarżyła się pani Halina wśród łez i zanim Wanda spostrzegła się, chwyciła jej rękę i przycisnęła do ust. Kilka gorących łez padło na rękę Wandy.

Nagle rozległ się trzykrotnie pociśnięty dzwonek. Pani Hala drgnęła nerwowo.

— Kto to?

— To lekarz, nasz przyjaciel, niezwykle dobry człowiek, zaraz go pani pozna — spokojnie odpowiedziała Wanda.

Pani Hala chwyciła ją silnie za rękę.

— Na wszystko w świecie zaklinam panią, niech pani lekarzowi nie wymienia mego

nazwiska, niech pani ani słówkiem nie zdradzi, po co przysłałam.

— Ależ nie powiem, jeśli pani sobie tego życzy, ale zobaczy pani, że jutro lub pojutrze pani sama już opowie mu o wszystkim. To taki kochany, dobry człowiek...

Wanda pobiegła otworzyć drzwi swemu przyjacielowi.

POWRÓT DO ZDROWIA

Rekonwalescencja Józefa postępowała wolno. Po okresie gorączki nastąpiło nagłe i znaczne obniżenie temperatury i z tym połączone wyczerpanie i osłabienie organizmu. Tętno pulsowało tak słabe, że ledwie dało się wyczuć. Ale Józef był już przytomny. Ciężka choroba, z którą jego mocny organizm przez trzy tygodnie się zmagał, pozostawiła silne ślady. Cera twarzy Józefa nie wiele różniła się od białej poduszki, a spalone gorączką usta tworzyły jakąś nieregularną przykrą plamę. Policzki zapadły się, wyciągając usta w grymas bólu czy goryczy. Mówienie męczyło Józefa i tylko poszczególnymi cichymi sylabami odpowiadał on na pytania.

Pierwsze słowo Józefa, gdy świadomość wróciła, było pytanie: co się dzieje z Wikiem?

Wanda musiała szczegółowo opowiedzieć o swych pierwszych odwiedzinach w więzieniu, o tym, jak wiele dopomógł jej do zobaczenia Wika doktor Kuzera. Potem opowiedziała Wanda szczegóły drugich, trzecich i następnych odwiedzin, opisała dokładnie sędziego śledczego, że raczej przypomina jej dobrego i mądrego lekarza niż surowego sędziego, opowiedziała o niektórych szczegółach śledztwa. Józef słuchał z niezwykłą uwagą, czasem marszczył brwi, co znaczyło, że myśli jego nie mogą nadążyć słowom Wandy. Wtedy musiała powtarzać po raz drugi całe zdanie, wolniej i wyraźniej je wymawiać. Józef żądał, by Wanda teraz codziennie odwiedzała Wika w więzieniu. Raz prosił ją nawet, by podała mu ćwiartkę papieru i ołówek, chciał kilka słów do brata napisać. Wanda spełniła prośbę, ale ołówek wypadł ze słabych jeszcze palców chorego.

Gdy Wanda wychodziła z domu, zastępowała ją przy łóżku chorego pani Hala i czytała Józefowi na głos gazety tak długo, aż Wanda nie wróciła, lub Józef nie zasnął. Józef dziękował uśmiechem, a czasem tylko oczyma. Chory przyzwyczał się do osoby pani Hali, czasami nawet, gdy długo do jego pokoju nie przychodziła, pytał:

— A gdzie pani Hala?

Wanda cieszyła się z tego przywiązania brata do swej przyjaciółki. Początkowo, spełniając prośbę pani Hali, nie wyjawiała Józefowi jej nazwiska i przedstawiła ją, jako pielęgniarkę. Później w miarę rekonwalescencji prawdę coraz trudniej było ukryć przed Józefem i Wanda z wielką trwogą w sercu wymieniła prawdziwe nazwisko rzekomej pielęgniarki, opowiedziała szczegóły pierwszej wizyty pani Mertinger w ich domu.

Józef słuchał uważnie i ani słowem nie odpowiedział.

Wanda serdecznie pokochała panią Halę. Miała w niej przede wszystkim wyręczycielkę, poza tym nie czuła się tak osamotniona i zdana na własne siły i na własne myśli, gdy stan zdrowia Józefa był prawie beznadziejny i każda minuta mogła stać się tragiczną niespodzianką. Wprawdzie doktor Kuzera przychodził kilka razy dziennie, ale odwiedziny jego trwały zaledwie kilka minut, po czym musiał biec do innych pacjentów. Pani Hala zaś spędzała całe prawie dni w domu Skarskich, przychodziła wcześniej rano, a wychodziła przed zamknięciem bramy domu. W niej znalazła Wanda i powierniczkę i przyjaciółkę. Teraz Wanda nie wyobrażała sobie nawet, co by było, gdyby jednego dnia pani Hala powiedziała jej, że wyjeżdża lub że jutro nie przyjdzie.

Przed Józefem Wanda zataiła tylko jedno, nie przyznała się, że ilekroć idzie do więzienia do Wika pani Hala prosi ją, by bratu doręczyła małą kartkę. Pierwsza taka kartka była małym skrawkiem bibułki gęsto zapisanej, rozmiar następnych zaś, coraz bardziej się zwiększał, aż bibułki te doszły do objętości długich listów, Wanda cały zasób swego sprytu musiała zużyć, by niepostrzeżenie, w czasie rozmowy, wetknąć Wikowi w kieszeń lub w rękę kartkę, której by żaden z dozorców więziennych nie zauważył. Ile razy zwitek papieru znalazł się w dłoni lub kieszeni brata, Wanda widziała w jego oczach wyraz wielkiej radości. Kobieca intuicja mówiła jej, że te kartki niosą nieszczęśliwemu Wikowi jakąś ulgę, wlewając w niego energię i chęć do życia. Raz Wik wsunął Wandzie w rękę odpowiedź. Gdy wyszła na ulicę, wyjęła kartkę z kieszeni i baczniej się jej przypatrzyła. Była to ćwiartka papieru starannie złożona w ośmioro, a na czystej stronie wypisany krótki adres: *Dla pani Hali*. Ciekawość paliła ją, co Wik pisze, i już, już chciała kartkę rozwinąć i przeczytać, gdy w ostatniej chwili przemogła się, wsunęła kartkę z powrotem do kieszeni płaszczyka. Adresatkę kartka ucieszyła niezmiernie. Nigdy jeszcze Wanda nie widziała pani Hali tak wesołej i w takim dobrym humorze, jak po odczytaniu kartki. Od tej chwili wędrowała Wanda codziennie do więzienia z jednym listem, a wracała z drugim.

Czwartego tygodnia od chwili aresztowania Wika, lekarz pozwolił Józefowi wstać z łóżka i przez godzinę siedzieć w fotelu. Wanda i pani Hala pomagały Józefowi wstać i przejść przez całą długość pokoju. Chory, oparty na ramionach obu kobiet, szedł jak niemowlę, wolno i z takim trudem stawiając nogi, jakby u każdej z nich przymocowaną była ciężka ołowiana kula. Pot kroplisty wystąpił choremu na czoło, zanim przeszedł tę śmiesznie krótką przestrzeń. Od tego jednak dnia lekarz pozwalał Józefowi coraz dłużej siedzieć w fotelu i polecił paniom powtarzać spaceru wzdłuż pokoju. Były to prawdziwe lekcje chodzenia, po których pacjent czuł się bardzo wyczerpany. Lekcje te jednak doprowadziły do tego, że chory już po czterech dniach, sam przy pomocy laski, przeszedł przez pokój. Świadomość, że może się już poruszać, czyniła Józefa coraz mniej cierpliwym. Prosił lekarza, by pozwolił sprowadzić dorożkę i przewieźć go do więzienia, ponieważ koniecznie chce się widzieć z bratem. Oczywiście lekarz o spełnieniu tej prośby ani słyszeć nie chciał. To denerwowało i drażniło Józefa tak bardzo, że spoglądał na doktora Kuzere, jak na swego śmiertelnego wroga, a na pytania Wandy i pani Hali przestał już zupełnie opowiadać.

Tego samego dnia wieczorem Wanda i pani Hala siedziały w stołowym pokoju, zajęte opowiadaniem o Wiku, pewne, że Józef drzemie. Nagle usłyszały cichy dźwięk fortepianu. Tomy szybko się zmieniały, stawały się coraz barwniejsze, przeskakiwały, jedne zastępowały drugie, wreszcie delikatne jak koronka gamy chromatycznej zaczęły się wiązać w cudne akordy i przeszły powoli w Szumanowskie *Träumerei*. Obie kobiety siedziały cichutko, owładnięte zupełnie czarem delikatnej, słodkiej melodii.

— To Józef gra. Widocznie przeszedł o własnych siłach do saloniku. — cicho powiedziała Wanda.

Träumerei przeszło wiązaniem harmonijnych czystych akordów w chopinowskie preludium deszczowe. Muzyka przykuła obie kobiety nieruchomo do krzesel, bały się głośniejszym oddechem spłoszyć te, jakby nieziemskie, tony. Józef grał. Nagle jakiś silny, fałszywy akord, zakończył preludium – muzyka ucichła.

Pani Hala i Wanda szybko wbiegły do saloniku. Gdy przekreśliły kontakt elektryczny, oczom ich przedstawił się dziwny widok. Na krześle obok fortepianu siedział Józef, głowa opadła mu ciężko na klawiaturę. Józef płakał. Wanda i pani Hala niemo patrzyły na chorego, potem cicho wysunęły się z pokoju, jakby w obawie, by nie przerwać płaczu.

XVI

NIEZWYKŁE ZEZNANIA

Sędzia Łubieński skończył właśnie przesłuchiwanie jakiegoś prokurenta bankowego obwinionego o spekulacje walutowe, gdy do jego pokoju wszedł wysoki, nieco przygarbiony mężczyzna, ciężko opierając się na lasce. Przybyły rozejrzał się kilkakrotnie po gabinecie sędziego, jakby w obawie, by nie zetknąć się tu z kimś niepożądanym, potem zbliżył się wolno i z trudem do biurka sędziego i przyciszonym głosem zaczął mówić:

— Przepraszam bardzo pana sędziego, że przychodzę sam, nie wezwany tu przez sąd, ale chciałbym złożyć w pewnej bardzo ważnej sprawie zeznanie.

Sędzia Łubieński podniósł swoje duże, mądre oczy na nieznanego:

— W jakiej sprawie chce pan złożyć zeznania?

— W sprawie tajemniczego morderstwa Karola Mertingera. Ja nazywam się Józef Skarski, jestem urzędnikiem prywatnym i bratem... pan sędzia już wie...

— Tak, wiem, bratem Starskiego, osądzonego o to morderstwo. Ale dlaczego dziś dopiero przychodzi pan do sądu, jeśli posiada pan w tej sprawie, ważne wiadomości?

— Byłem chory, bardzo chory, pierwszy mój krok po chorobie to tu panie sędzio... — wypowiedział przybyły z jakimś żalem w głosie.

W oczach Łubieńskiego odbiło się coś w rodzaju współczucia, szybko wstał od biurka, sam przysunął krzesło Józefowi Skarskiemu.

— Proszę niech pan powie, co panu w tej sprawie wiadomo.

— Przykro mi panie sędzio, że dziś dopiero przybywam do pana. Jak już poprzednio wspominałem, byłem chory, ciężko chory, przeszedłem zapalenie mózgu i jeszcze teraz jestem rekonwalescentem. Gdyby nie nagła choroba z pewnością byłbym swe zeznania złożył jeszcze tego samego dnia, którego mój nieszczęśliwy brat został aresztowany i może byłbym go uwolnił od tych strasznych katuszy, jakie od trzech tygodni przeżywa. Trudno, zrządzenie wyższe... Niejedną przykrość byłby zaoszczędził sobie brat mój, gdyby natychmiast po morderstwie wyznał mi szczerze, co go trapi i gnębi, niestety Wiktor nie był wobec mnie szczery i to strogo pomściło się na nim.

Skarski oddychał ciężko, widać było, że mówienie sprawia mu jeszcze trudność.

— Niech pan sędzia wybaczy, ale, aby moje zeznania były bardziej zrozumiałe i jasne, muszę je zaopatrzyć dłuższym wstępem.

Rodzice moi byli ludźmi dobrymi, ale niemniej lekkomyślnymi. Duże obszary ziemi, piękne wsie na Kijowszczyźnie, które jak sen młodości pamiętam, były ich własnością. Duże dochody nie pokrywały jednak ich potrzeb. Rozrzutny tryb życia w Kijowie, gdzie stale moi rodzice mieszkali, kosztowne podróże za granicę, wreszcie karty stopiły majątek. Pamiętam dokładnie – bo miałem wtedy już czternaście lat – jak wielkie obszary skurczyły się do małego majątku Buryki koło Winnicy. Ale i ten szybko wierzyciele ojca zlikwidowali. Przenieśliśmy się do Warszawy. Tu rodzice nie przetrzymali twardej drogi życia i walki o chleb codzienny i najpierw matka, a potem ojciec, zakończyli życie w skromnym trzypokojowym mieszkaniu. Ja w

dniu śmierci ojca miałem lat dziewiętnaście i na mojej opiece zostali: młodszy o dziesięć lat Wiktor i malutka Wanda.

Jeszcze za życia rodziców przyzwyczałem się do opieki nad młodszym rodzeństwem. Rodzice tak rzadko w domu przebywali... Jako dziewiętnastoletni chłopak uczęszczałem na politechnikę. Po śmierci ojca musiałem się z tą uczelnią rozstać i rzucić się na poszukiwanie pracy zarobkowej. Dzięki znajomościom zmarłych rodziców, otrzymałem posadę. To pozwoliło mi utrzymać przy życiu Wika i Wandę. Płynęły lata. Wychowanie Wandy przez cały okres lat piętnastu najmniejszej nie sprawiało mi trudności. Nie miałem powodu dla tej dziewczyny brwi nawet zmarszczyć. Wiele kłopotu za to sprawił mi Wik. Jego usposobienie było pełnym rezonansem ojca, ta sama lekkomyślność, ta sama nonszalancja w traktowaniu pieniędzy, ta sama, tylko w miniaturze, żyłka do kart i ta sama lotność umysłu i ogromne zdolności. Nie wiem, czym to tłumaczyć, ale mimo tych wad Wik był mi najdroższy. Może kocham go dlatego, że przypomina mi zmarłego, ale nie było i me ma ofiar, których dla tego chłopca nie byłbym w stanie ponieść.

Mówiąc o Wiku, oczy Józefa zajaśniały taką tkliwością i taką miłością jak oczy ojca, który opowiada o sprycie i psich figlach swego kilkuletniego jedynaka. Ten objaw niezwyklej miłości braterskiej ujął niezmiernie sędziego, całkiem innymi oczyma patrzył Łubieński na schorowanego, przedwcześnie osiwiąłego Józefa.

Po krótkiej pauzie, Józef opowiadał dalej:

— Studia uniwersyteckie ukończył brat w Paryżu tylko dzięki mojej pomocy. Po powrocie do kraju oświadczył mi, że ma zamiar poświęcić się dyplomacji i wstąpić do ministerstwa spraw zagranicznych. Nie bronilem mu tego, mimo iż dobrze zdawałem sobie sprawę, że służba ta wymaga wielkich dochodów, kilkakrotnie przewyższających pobory urzędnika.

Zaraz u progu służby Wik zażądał ode mnie pieniędzy. Dałem mu ostatni grosz. Ponieważ jestem muzykalny i, jak ludzie twierdzą, bardzo uzdolniony, chcąc zwiększyć swoje dochody, zacząłem instrumentować dla kabaretów rozmaite drobne operetki, wodewile, skeczki, uważając to za konieczny zarobek uboczny, by dom utrzymać i móc Wika nadal subwencjonować. Zarobki te były jednak skromne i ledwie, ledwie zdołałem związać koniec z końcem.

Jednego dnia, jak dziś pamiętam – był wtorek – Wik przyszedł późną nocą do domu. Rano oświadczył mi, że w klubie przegrał poważną sumę i że dług zobowiązał się w ciągu trzech dni zwrócić. Wiadomość ta była dla mnie prawdziwym ciosem. Grosza wówczas me miałem w domu. A jednak tak zdołałem się opanować, że nawet twarz mi nie drgnęła, ani mrugnięciem powiek nie dałem poznać bratu, czym jest dla mnie ta wiadomość. Firma, w której pracuję, ułatwiła mi zdobycie krótkoterminowego, ale na ciężkich warunkach, kredytu. Zaciągnąłem dług wekslowy, który w przeciągu trzech tygodni miałem spłacić. Wikowi na czas wręczyłem pieniądze z tą tylko uwagą, że w przyszłości każdy dług zapłacę, ale nie karciany. Wik płakał, przeproszał. Widząc skruchę, prosiłem go jedynie o to, by pohamował swoją lekkomyślność i to nie ze względu na mnie tylko lecz na Wandę, która już wychodzi z dziecinnych lat i o jej przyszłości choć trochę myśleć należy.

Skrucha i łzy upewniły mnie o tym, że Wik ograniczy się w wydatkach, ale pozostał dług, duży dług, na którego pokrycie miałem tylko dziesięć palców u rąk.. Sytuacja moja była nie do pozazdroszczenia. Musiałem szybko coś obmyślić, bo czas prędko upływał, za trzy tygodnie mógł nastąpić protest weksla, a z tym złączona była moja kompromitacja wobec firmy, która uważała mnie zawsze za uczciwego człowieka. Ta myśl odbierała mi spokój, odbierała mi sen.

Na blade czoło Skarskiego wystąpił kroplisty pot, oddychał ciężko, palce jego przebiegały nerwowo po kraju biurka sędziego jak po klawiaturze. Widać było, jak strasznie ten człowiek

zmaga się ze sobą, by zebrać myśli i nie przerywać dalszego ciągu opowiadania. Sędzia podał Józefowi szklankę wody i prosił, by chwilę odpoczął.

Józef odpoczął i zaczął dalej cichym głosem zeznawać, wymawiając wyraźnie każde słowo, jakby się bał, że może ono ujść uwadze sędziego.

— Tak, sytuacja moja była wtedy ciężka. Wiedziałem, że zestawianiem po nocach bilansów, pisanem nut nie zdobędę takiej kwoty, jaka mi jest potrzebna. Spekulować nie umiałem, zresztą nie miałem potrzebnego do tego kapitału zakładowego. Lekcje muzyki również niewiele mogły mi dać dochodu. Aż jednej bezsennej nocy wpadłem na pomysł. Postanowiłem użyć swych zdolności muzycznych i połączyć je z wiadomościami politycznymi, z plotkami salonów, rautów i bali, które tak obficie przynosił Wik do domu.

Tego samego rana wypróbowałem swe zdolności. Opowiadania Wika układałem w dowcipne wiersze, z pyłu starych rupieci wydostałem swoją studencką gitarę.

— Ach więc stąd czerwony błazen?! — spytał sędzia, unosząc się ze zdumienia w swym fotelu,

— Tak, to są urodźmy czerwonego błazna.

— Więc pan zamordował Mertingera?

Józef nie zaraz na to pytanie odpowiedział, dał ręką znać sędziemu, że chce dalej mówić.

— Panie sędzio proszę o chwilę jeszcze cierpliwości, zaraz zbliżam się do momentu, który pana najbardziej ciekawi. Otóż tak, w czasie tej bezsennej nocy, urodził się czerwony błazen, który taką sensację budził w mieście. Zrodził się on z tragedii, a budził śmiech...

Warunki, na jakich zgodziłem się występować w *Złotym Ptaku*, są już panu sędziemu z pewnością wiadome z opowiadania dyrektora Metznera. Jeśli jednak pan sędzia nie jest o nich powiadomiony, to mogę je wyjaśnić.

— Tak, znam te oryginalne warunki, i teraz dopiero rozumiem, dlaczego czerwony błazen tak bardzo się asekurował przed ciekawością ludzką.

— Musiałem się asekurować — smutno i cicho wyszeptał Skarski. — Brat wysokiego urzędnika ministerstwa, brat dorastającej panny, nie mógłby być czerwonym błaznem.

Kędzia Łubieński zwiesił głowę, słowa Skarskiego głęboko go wzruszyły.

Po krótkiej pauzie Józef kontynuował opowieść o swojej tragedii.

— A teraz zbliżam się do morderstwa. Nie wiem, czy znany jest panu sędziemu plan sytuacyjny *Złotego Ptaka*. Trzy wejścia prowadziły za kulisy: jedno wejście jest od garderoby dla publiczności, drugie od westybulu, trzecie zaś od podwórza. To trzecie wejście było najmniej wygodne. Chcąc tedy dostać się za kulisy, trzeba było przejść przez podwórko sąsiedniego domu, następnie przez drugie ciemne i błotniste podwórko wzdłuż budynków stajennych i w ciemnościach odszukać wejścia za kulisy. Jeszcze przed swoimi występami zbadałem plan sytuacyjny. Gdy przekonałem się, że trzecie – to najmniej wygodne – wejście niewielu osobom z kabaretu jest znane, postanowiłem właśnie tedy przedostawać się za kulisy. Ponieważ kilka kroków od tego wejścia znajdowała się garderoba numer trzy, więc ją, jako najwygodniejszą, obrałem dla siebie. Nieznane wejście chroniło mnie przed ciekawością artystów i artystek kabaretowych i stworzyło ze mnie jakiegoś niezmiernie strasznego stworzenia, który w czapce niewidce przechodzi przez korytarz kulis.

W dniu, kiedy morderstwo zostało popełnione, wszedłem jak zwykle trzecim wejściem. Biegłem szybko przez korytarz, aby jak najrychlej znaleźć się w garderobie. Garderoba była zawsze ciemna i dopiero ja zapalałem w niej światło, zamykając poprzednio zawsze drzwi za sobą na klucz. Tego dnia za ledwie przekroczyłem próg garderoby, usłyszałem w niej jakieś podejrzane ciche jęki i ruchy, jakby kogoś mocującego się z czymś na ziemi. Natychmiast przekręciłem taster i oczom moim przedstawił się straszny widok: Na ziemi leżał człowiek w

średnim wieku, ubrany w bogate futro. W piersiach jego tkwił olbrzymi nóż, leżał on w olbrzymiej kałuży krwi. Nieznajomy żył jeszcze. W jakichś przedśmiertelnym odruchach skrobał paznokciami podłogę, nogami wykonywał takie ruchy, jakby chciał się przewrócić na bok. Widok był straszny i w pierwszej chwili zmroził mi krew w żyłach, nie mogłem kroku postąpić naprzód. Gdy pierwsze uczucie strachu opanowałem, chciałem nieznanego ratować. Ukląknęłam obok niego, starałam się olbrzymi nóż wyjąć z jego piersi. Za ledwie jednak ukląknęłam, zobaczyłem, że wszelki ratunek jest spóźniony. W oczach nieznanego wyraźnie zobaczyłem śmierć. Ruchy rąk i nóg były to już skurcze pośmiertne. Gdy pochylony byłem nad trupem, usłyszałem nagle skrzyp drzwi. Szybko odwróciłem głowę, widziałem wyraźnie, że ktoś drzwi zamknął za sobą. W tej chwili podświadomie w mojej głowie błysła myśl, że jestem tu sam na sam z zamordowanym, że muszę natychmiast z tej garderoby uciekać, bo w razie nadejścia inspicjenta, mnie obwinia o morderstwo. Uciekać! to była jedyna myśl, jaka w tym momencie zrodziła się w mej głowie. Uciekłem tą drogą, którą wszedłem. Nikt mnie nie widział.

Gdy znalazłem się w mieszkaniu, długo nie mogłem się uspokoić, każdy nerw drżał we mnie jak targnięta struna. Rzuciłem się na otomanę, najsprzeczniesze myśli zaczęły wirować i kotłować się w mej głowie. Czy mam iść na policję i donieść o wszystkim, czy też zachować w tajemnicy ten wypadek? Zdawałem sobie jasno sprawę z tego, że powiadomienie policji będzie równocześnie zdemaskowaniem czerwonego błazna, a wtedy Wik i Wanda... I dalej kotłowało w mej głowie, że jeśli zgłoszę się w policji, to mnie mogą aresztować jako mordercę. Trudno mi będzie udowodnić, że nie ja tę zbrodnię popełniłem. Wszystko przemawiało za tym, żeby policji nie powiadamiać. Zostałem w domu.

W nocy prześladowało mnie ustawicznie to, kto otworzył drzwi do garderoby, gdy byłem pochylony nad zamordowanym? A może była to tylko sugestia, wywołana silnym zdenerwowaniem, może w ogóle nikt drzwi nie otwierał?

Ta zagadka odbierała mi sen.

Świt przywitałem z otwartymi powiekami. Słyszałem jak późną nocą brat przyszedł do domu. Myślałem, że wraca z balu lub z klubu. Po raz pierwszy w życiu czułem wtedy żal, niechęć i nienawiść do Wika.

Życie dało mi jednak hart, nauczyło mnie maskować się przed otoczeniem i dzięki temu byłem spokojny i opanowany, gdy rano przy śniadaniu spotkałem się z rodzeństwem.

Troskę Wika, jego niezwykle zachowanie tłumaczyłem sobie zawodem miłosnym. Dziś już wiem, co było powodem tragedii jego duszy. On podejrzewał mnie o morderstwo. Tragedią zaś mej duszy jest, że ten ukochany chłopak miał wszelkie dane ku temu, by mnie rzeczywiście obwiniać o zbrodnię. A jednak milczał. Milczał w domu, milczał w sądzie. I teraz przekonuję się dopiero, jak wartościowy jest ten lekkomyślny chłopak, który wolał raczej siebie zgubić, niż zdradzić brata i opiekuna. Nie mogłem wcześniej przyjść tu, by skrócić jego gehennę, niestety dziś dopiero mogłem to uczynić.

Józef ciężko opadł w fotelu. Twarz jego była tak blada, jakby krew przestała w niej zupełnie krążyć. Zeznanie wyczerpało go zupełnie. Upadek sił w organizmie nieszczęśliwego był silny. Ręce Józefa bezwładnie opadały z poręczy fotela. Sędzia przysunął szklankę wody do ust Skarskiego. Zęby chorego uderzały o brzeg szklanki, a całe ciało drżało jak pod wpływem wielkiego zimna. Łubieński nic wiedział, jak pomóc nieszczęśliwemu. W przystępie litości położył rękę na głowie Józefa i mimo woli zaczął go pocieszać.

— Panie Skarski, jak można tak się przejmować? Wszystko się wyjaśni, tylko trochę energii i cierpliwości. Wyjaśnimy sprawę... Pańskie zeznania dużo dopomogą... Niechże się pan tak nie poddaje nieszczęściu.

Dobre, pełne litości słowa sędziego podziałały kojąco na Skarskiego. Długo tłumiona

rozpacz, żal i niepewność zaczęły się przełamywać w duszy Józefa. Rozplakał się jak małe bezradne dziecko, które długo krzywdzono.

— Wiem, wiem, że teraz na mnie pada podejrzenie, że jestem mordercą — szeptał Józef, wstrzymując gwałtowne łkanie. Wiem, że pan, panie sędzio, każe teraz mnie aresztować.. To trudno, rozumiem... pański obowiązek.

— Nie, jest pan wolny — powiedział Łubieński.

Skoro tylko Józef opuścił gabinet sędziego, Łubieński bezzwłocznie połączył się telefonicznie z więzieniem śledczym, prosząc o natychmiastowe dostawienie do swego biura aresztanta Wiktora Skarskiego. Czas oczekiwania skracał sobie Łubieński rysowaniem jakichś bardzo skomplikowanych figur geometrycznych na ćwiartce białego papieru. Oczy sędziego śledczego biegły po skośnych liniach, po których ołówek się posuwał, myśli zaś jego w zupełnie innym biegu kierunku.

Fundament śledztwa po zeznaniach Józefa zmienił się tak radykalnie, że cała budowa na nim oparta, za jednym zamachem runęła. Właściwie w myśl wszelkich przepisów prawa, powinien był Józefa Skarskiego aresztować i bezzwłocznie kazać odprowadzić do więzienia. Jaką ma bowiem pewność, że Józef Skarski nie jest mordercą? Na czym oparł ten sąd? Na zaufaniu, jakie Józef wzbudzi swym zewnętrznym wyglądem i swoim opowiadaniem? Tak, ale to trochę mało... Czy na przykład nie byłoby możliwe, że Józef z miłości do brata po prostu skomponował sobie całą historyjkę w nadziei, że po niej sąd wypuści Wiktora Skarskiego na wolność? A jednak..

Woźny zaanonsował, że z więzienia przyprowadzono Wiktora Skarskiego. Łubieński bezzwłocznie kazał wprowadzić aresztanta do gabinetu. Gdy tylko Wik przestąpił próg, Łubieński długo wpatrywał się w oczy aresztanta, jakby chciał z nich wydostać całą tajemnicę, jakby chciał się przez nie wdrzeć do najszybszych komórek myśli Skarskiego.

— Czy nie ma pan, panie Skarski, nic więcej do powiedzenia mi w sprawie morderstwa?

— Nic więcej nie wiem ponad to, co już powiedziałem.

— Doskonale jednak zdaje pan sobie sprawę z tego, że w pańskich zeznaniach jest ogromnie dużo ciemnych miejsc, które bezwarunkowo trzeba wyjaśnić, jeśli nie chce pan siebie wpakować w nieszczęście.

— Panie sędzio, zapewniam pana, że wszystko, co tylko możliwe, już powiedziałem.

Jeśli są niejasne dla pana miejsca, to ja już ich wyjaśnić nie mogę bez względu na to, jakie mogłoby to pociągnąć dla mnie konsekwencje.

Łubieński wzruszył ramionami.

— Panie Skarski, jeśli pan nie chce wyjaśnić I to pozwoli pan, że ja sam pana w tym wyręcę. O jedno tylko pana proszę: niech pan nie kłamie. Sądzę, że przez cały czas śledztwa tyle okazałem panu życzliwości, że nie ma pan chyba powodu okazywać mi braku zaufania. Czy tak?

— Tak panie sędzio, obiecuję, że nie skłamię.

— A więc najpierw powiem panu, co widział pan w garderobie numer trzy. Otóż widział pan zamordowanego człowieka, który leżał przebity nożem, obok zaś trupa widział pan drugiego człowieka, który klęczał. Czy tak?

— Tak, odpowiedział Wik, błędnie.

— Kim był ten człowiek?

— Nie mogę powiedzieć.

— Jeśli pan nie może, to ja znów pana wyręcę, otóż to był brat pana, Józef Skarski.

Wik przysłonił ręką oczy, z piersi jego wydobył się cichy tłumiony jęk.

— Więc to pański brat tam był? — spytał ponownie Łubieński.

— Tak, to był Józef — cicho odpowiedział aresztant.

— Niech pan nie sądzi, panie Skarski, że drogą specjalnego sprytu lub jakichś nadzwyczajnych środków inkwizycyjnych, doszedłem do tych wiadomości. Całkiem po prostu dowiedziałem się o tych szczegółach. Otóż przed półgodziną był tu pański brat Józef i on mi opowiedział całą historię. Jeśli zaś przeskoczyliśmy już ten najważniejszy dla pana próg, to sadzę, że teraz zupełnie łatwo da pan odpowiedź na moje dalsze pytania. Niech mi pan odpowie, czy uważał pan brata za mordercę?

— Tak.

— Na czym pan ten sąd opierał?

— Nie mogę inaczej tłumaczyć sobie tego... Widziałem Józefa pochylonego nad trupem, który jeszcze drgał... Za kulisami była cisza, nikogo nie widziałem...

— Ile czasu upłynęło od momentu, gdy pan zobaczył brata wchodzącego za kulisy, do chwili, gdy pan wyszedł zza starych dekoracji i wszedł do garderoby numer trzy?

— Może minuta, może mniej, dokładnie czasu podać nie mogę, bo przyznam, że byłem bardzo zdenerwowany.

— A czy przez cały czas oczekiwania na czerwonego błazna nie słyszał pan żadnych kroków obok siebie, czy nikt nie przechodził tym korytarzem, przy którym znajduje się garderoba numer trzy?

— Nikt.

— Czy tylko pan jest stanowczo tego pewny?

— Nikt... Zresztą orkiestra grała, a z widowni dochodził mnie odgłos oklasków...

— Więc z całą stanowczością nie może pan stwierdzić, że absolutnie nikt nie przechodził korytarzem?

— Nie mogę.

— Dobrze, a teraz niech mi pan powie, czy z ukrycia swego mógł pan dobrze obserwować drzwi garderoby numer trzy?

— Tak, doskonale.

— I nie zauważył pan, by ktoś wchodził lub wychodził stamtąd?

— Nie.

— Czy nie odrywał pan ani na chwilę wzroku od drzwi?

— Patrzyłem na drzwi prawie bez przerwy, o ile nie przeszkadzała mi fatalna ciężka dekoracja, która groziła upadkiem, ta właśnie na której był odcisk mojej dłoni. Zresztą zrozumie pan sędzia, że moja dziwna sytuacja, obawa przed odkryciem mojej kryjówki przez kogoś z personelu teatru denerwowały mnie tak silnie, że dziś drobnych szczegółów nie mogę sobie w myślach odtworzyć i z całą stanowczością je tu stwierdzić.

— Kończę już indagację, a teraz niech mi pan powie, jak długo oczekiwał pan na czerwonego błazna?

— Znów kłopotliwe pytanie. Powiedziałem już raz, panie sędzio, że z takich szczegółów nie mogę zdać sobie sprawy. Na zegarek me patrzyłem, chwile oczekiwania wydawały mi się torturą, minuty i sekundy zdawały się być wiecznością. Jedno stwierdzić mogę, że nogi mi zupełnie ścierpły, czas oczekiwania zmęczył zupełnie mój organizm, choć jestem silny i wytrzymały. Możliwe, że godzinę spędziłem w ukryciu, możliwe, że pół, a i to możliwe, że ledwie kilka minut...

— Dobrze. A teraz jeszcze ostatnie pytanie, które poprzednio było dla pana bardzo drażliwe, ale teraz może się pan zdecydować i na to odpowiedzieć. W jakim celu wszedł pan za kulisy Złotego Ptaka, po co narażał się pan na tyle ofiar, choćby, na przykład, na cierpienie nóg?

— Na to pytanie doprawdy panie sędzio, odpowiedzieć inaczej nie mogę, jak tylko w ten

sposób, że założyłem się z kimś, czyjego nazwiska wymienić nie mogę.

— Niechże pan zrozumie, panie Skarski, że ta odpowiedź dla wyjaśnienia sprawy jest wprost fatalna. Mówiłem przecież panu, że bankier niejaki Mozes Steinberg, zeznał przed prokuratorem Glińskim, że zamordowany Merlinger na godzinę mniej więcej przed tragicznym zajściem oświadczył mu, że z kimś o coś się założył. Zrozumie pan chyba, że jeśli i pan mówi o jakimś zakładzie i nie chce pan wymienić nazwiska człowieka, z którym się pan założył, to śledztwo w tym miejscu zajął się i mimo woli jakaś tajemnicza nić owija pana z zamordowanym. Teraz, panie Skarski, nie pora na dziecinne tajemnice. Teraz musi pan mówić prawdę i razem ze mną dążyć do wyjaśnienia sprawy. Niech pan pamięta, że pański brat złożył przede mną ważne zeznanie. Źle puszczony w ruch koło śledztwa może w bardzo łatwy sposób porwać brata pańskiego i zmiażdżyć go. O tym niech pan nie zapomina, że ważą się teraz losy dwu ludzi: Wiktora i Józefa Skarskiego. Moja życzliwość względem pana idzie aż tak daleko, iż upewniam pana, że jeśli ten szczegół nie będzie tworzył ważnego ogniwa w łańcuchu śledztwa, to odpowiedzi pańskiej ani nie zaprotokołuję, ani najmniejszego nie zrobię z niej użytku. Czy to wystarcza panu?

Wik spuścił głowę, nieruchomo wbił wzrok w podłogę. Widać było, że mociuje się sam z sobą, że trudno mu tajemniczą skrytkę przed ludzkim okiem otworzyć. Już, już miał Wik usta otworzyć i mówić, gdy jakaś wewnętrzna siła zmuszała go do milczenia.

Milczenie oskarżonego wydawało się sędziemu zbyt długie.

— Panie Skarski, przypominam panu, że chodzi teraz o pańską głowę, a jeszcze więcej może o głowę pańskiego brata...

Ten argument pomógł. Wik ledwie dosłyszalnym szeptem powiedział:

— Z nikim panie sędzio nie zakładałem się.

— Więc po cóż, u licha, laźł pan za kulisy?

— Chciałem spełnić kaprys jednej kobiety.

— Której?

— Pani Haliny Mertingerowej, żony zamordowanego.

— Żony zamordowanego?? — spytał z ogromnym zdziwieniem sędzia. Cóż pana z nią łączyło?

— Nic panie sędzio, prosta znajomość, słowem honoru ręczę, że nic więcej.

Wik opowiedział sędziemu Łubieńskiemu całą historię od chwili poznania pani Haliny aż do chwili, w której na raucie u Kleskich podjął się spełnić kaprys pięknej pani. Łubieński był zbyt dobrym psychologiem, by nie dorozumieć się, że młody człowiek dla pani Mertinger byłby zdolny do większych ofiar niż wyczekiwanie za starymi dekoracjami na czerwonego błazna. Jeden jednak szczegół zataił Wik przed sędzią śledczym, zataił scenę, której świadkiem był prokurator Gliński.

Gdy Wik skończył, Łubieński zapytał:

— Czy teraz wszystko pan już powiedział i nic pan nie zataił?

— Nic.

— Dziękuję panu.

Wik opuścił gabinet sędziego i w towarzystwie strażnika wyszedł z gmachu sądu, Łubieński zaś oparł głowę na obu dłoniach i głęboko się zamyślił. Po chwili mimo woli powiedział sam do siebie głośno:

— Więc nie jeden, nie drugi, jakiś trzeci... Dużo pracy czeka mnie jeszcze, nim do tego trzeciego dojdę. A może i nie uda mi się.

XVII

NIESPODZIANY ZWROT

Prokurator Gliński był dziś w wyjątkowo złym humorze. Drobiazgi już od rana wywracały uregulowany system jego życia. Służący zbudził go za późno, tak, że nie zdążył na czas do biura, potem doręczono mu mocno impertynencki list od jednej z przyjaciółek, wreszcie prezes sądu miał do niego wcześniej rano interes, sam fatygował się do jego biura, ale nie zastał go – dość, że wszystko szło mu dziś na wspak. Około godziny jedenastej wszedł do gabinetu prokuratora komisarz Borewicz. Rozmowa nawiązała się szybko na temat morderstwa bankiera Mertingera. Gliński miał doskonałą sposobność wylać całą swą złość i zły humor.

— Doprawdy panie komisarzu, że cierpliwość ludzka musi się skończyć na widok pracy Łubieńskiego. Przereklamowano go jako niezwykle zdolnego sędziego śledczego, dostał w ręce sprawę Skarskiego i nie może z niej wyleźć. Śledztwo pierwiastkowe, poprowadzone przez nas, wyjaśniło już tak dalece sprawę, że od razu można było rozpisać rozprawę, a Łubieński nic z niej wycisnąć nie może. Już trzy razy pisemnie dopominałam się załatwienia, zawsze zbył mnie ogólnikami. Dziś będę u prezesa sądu i wręcz się użalę na to rozmyślne i bezcelowe przewleknięcie śledztwa.

— I mnie, panie prokuratorze, to przewleknięcie przez sędziego Łubieńskiego sprawy, wydaje się mocno podejrzane. Śledztwo w tej sprawie można było w ciągu dziesięciu dni skończyć i Skarskiego postawić pod sąd doraźny. A teraz co? Zamiast sądu doraźnego będzie zwykły trybunał, a pan chyba sam dobrze wie, jaka to różnica.. Co ten Łubieński tak wałkuje, doprawdy nie wiem. Dwa tygodnie temu słuchał Jozefa Skarskiego, brata mordercy, potem znów wezwał wszystkich świadków, słuchał, konferował, znowu słuchał i znów konferował... Doprawdy, że to wszystko zaczyna być mocno podejrzane. Dla nas policji, wykrycie mordercy Mertingera było doskonałą reklamą, która mimo woli byłaby odwróciła oczy publiczności od innych spraw na rekordowe złapanie Skarskiego. A przez Łubieńskiego sprawa wlecze się i wlecze bez końca i do rozprawy dojść nie może.

Gliński mimo woli uśmiechnął się z irytacji komisarza.

— Pewnie, panie Borewicz, że w karierze pana wykrycie mordercy Mertingera będzie momentem zwrotnym, a władze przełożone i publiczność muszą uznać pańskie w tej sprawie zasługi. Moje jednak podejrzenie przeciwko Łubieńskiemu nie idzie aż tak daleko, jak pańskie. Uważam go po prostu za człowieka nieudolnego, doskonałego teoretyka prawa karnego, a mniej jak średniej miary praktyka. Powierzenie śledztwa w tej ważnej sprawie Łubieńskiemu było niesłychanym błędem. Przypuszczam, że człowiek tak sprytny jak Skarski, nawet w więzieniu nie próżnował i potrafił nawiązać kontakt z ludźmi spoza muru. Wręcz obwiniam Łubieńskiego o zbytnią łatwowierność w tym kierunku, że w kilka dni po morderstwie pozwolił siostrze Starskiego odwiedzić brata w więzieniu. Przypuszczam, że ten lekkomyślny krok Łubieńskiego smutna za sobą pociągnie konsekwencje. Skarski potrafił za pośrednictwem siostry, dużo śladów zatrzeć i postawi na rozprawie sąd wobec wielu wątpliwości...

Komisarz Borewicz był silnie poirytowany nieoglednością Łubieńskiego. Myśl, że jego

pracę, jego wieniec laurowy w karierze policyjnej może mu zedrzeć Łubieński przez swoją nieudolność, doprowadzała go do pasji.

— Panie prokuratorze — groził Borewicz — jeśli Łubieński rzeczywiście położy mi tę sprawę, to zobaczy pan, jak ja go położę na rozprawie. W swoich zeznaniach wszystkie jego nieudolności wyciągnę. Tak będę zeznawał, że wszystkie gazety będą o nim pisać jak o idiocie. To doprawdy niesumienność, pozwolić mordercy, i to jeszcze takiemu, w kilka dni po zbrodni na rozmowy z siostrą. Siostrzyczka Skarskiego z pewnością niebrzydka, to panu Łubieńskiemu może trudno było odmawiać gorącej prośbie pięknej panny...

— Ładna historia – zaciętrzewiał się dalej Borewicz — szkoda mojej pracy i wysiłków, jeśli tacy sędziowie jak pan Łubieński mają je zniszczyć.

Prokuratora bawiła ta pasja komisarza. Śmieszny wydawał mu się człowiek, który już sięgał po wielką palmę i nagle postawiono go przed możliwością wysunięcia się jej z jego rąk. Gliński umyślnie podsyczał wątpliwości Borewicza i rozmyślnie stawiał mu przed oczy nawet aż tak daleko idące ewentualności, że Skarski zupełnie wymknie się z tej sprawy. Borewicz irytował się jak byk drażniony przez pikadora czerwoną chustką i nie wyczuwał zupełnie gry Glińskiego.

Potop słów rozjuszonego Borewicza przerwało stukanie do drzwi gabinetu prokuratora.

W progu stanął sędzia Łubieński z plikiem akt pod pachą. Gliński i Borewicz powitali go zimno i niechętnie. Gliński nawet nie taił się ze swym niezadowoleniem.

— Dobrze, panie sędzio, że właśnie w tej chwili pan się u mnie zjawia. Omawiamy z komisarzem sprawę Skarskiego i doprawdy nie możemy usprawiedliwić pańskiego traktowania sprawy. Miesiąc trwa śledztwo i dotychczas nie widzimy żadnych pozytywnych wyników, Przypuszczamy, i to słusznie, że w tej sprawie zjechał pan na jakieś manowce.

— Właśnie wylazłem z manowców — spokojnie powiedział Łubieński.

— Jak to wylazł pan z manowców? Pan, panie sędzio, doskonale chyba wie, że sprawę morderstwa Mertingera otrzymał pan tak doskonale postawioną i wyjaśnioną, że gdyby pan tylko w tej sprawie szedł utartym szerokim gościńcem, to byłby pan...

— Wlazł na płot — twardo powiedział Łubieński. Jego duże, siwe oczy nabrały jakichś zimnych refleksów, ze spokojem wpatrzył się w twarz Glińskiego i w twarz komisarza policji, odbierając im dawny rozpęd i tupet.

— Co pan uważa za płot, panie sędzio? — spytał uszczypliwie Gliński.

— Cały sposób prowadzenia śledztwa pierwiastkowego, a szczególnie policyjnego. Panowie nie zdają sobie nawet sprawy z tego, jak lekkomyślnie i naiwnie potraktowali tak ważną sprawę. Lekkomyślne traktowanie śledztwa mogło nieobliczalnie sprowadzić następstwa, gdyby sędzia śledczy na równi z panami lekkomyślnie rzecz dalej prowadził. Tak...

— Czy tylko niezbyt lekkomyślnie rzuca pan, panie sędzio słowem *lekkomyślność*? — spytał zjadliwie Gliński.

— Znając mnie, nie powinien pan prokurator ani przez chwilę takiego sądu o mojej osobie wydawać, złożyłem dość częste dowody, że moje spostrzeżenia były trafniejsze nawet od... pańskich. Czy nie tak, panie prokuratorze?... Ale odłóżmy te niewątpliwe kwestie na bok dla sprawy ważniejszej.

— Więc odkrył pan Amerykę? — spytał brutalnie i kpiąco komisarz policji.

— Nie, Ameryki nie odkryłem, — odkryłem natomiast mordercę Mertingera, którego panu nie udało się odkryć — spokojnie odpowiedział Łubieński.

— Chętnie posłuchamy szczegółów tego odkrycia — przerwał Gliński, bojąc się by dyskusja między sędzią a komisarzem nie przybrała zbyt ostrych form.

Łubieński otworzył gruby tom akt, powoli zaczął go kartkować, wyjął raport policji, protokoły przesłuchania świadków na miejscu zbrodni i w komisariacie i patrząc spokojnie w

oczy komisarza policji, mówił:

— Zaraz po przestudiowaniu raportów policyjnych i doniesieniu prokuratorii wiele miejsc wydawało mi się w tym materiale niejasnych, a niektóre fakty nawet nieprawdopodobne. Zabierając się do rozwikłania bardzo skomplikowanych nitek zbrodni, postanowiłem z góry, że odsunę cały materiał zebrany przez policję i prokuraturę, by nie dać się mimo woli nim sugerować. Po upływie dwu dni pracy wyszukałem wszystkie dziury w materiale śledczym nagromadzonym przez panów. Jeśli życzą sobie panowie przykładów, to zaraz je przytoczę. Nieprawdopodobne na przykład wydało mi się, by zbrodni można było dokonać w ciągu dwu do trzech minut, z zeznań bowiem służącego ustaliłem dokładnie, o jakiej godzinie wprowadził on Skarskiego za dekoracje i kiedy inspicjent zelektryzował cały personel wiadomością o zbrodni. Otóż służący przypomniał sobie dokładnie, że wprowadził Skarskiego tuż przed czwartym numerem pierwszej części programu, a wiadomość o zbrodni rozeszła się przy końcu antraktu. W tym czasie trup już był zastygły, na powierzchni zaś krwi, która z rany i ust się wytoczyła, były już oznaki krzepnięcia. Wedle orzeczenia lekarzy, dla tych objawów więcej potrzeba było czasu, aniżeli mógł go mieć Skarski. Prowadząc więc dochodzenie, trzymałem się tej wytycznej, że zbrodnia została popełniona przynajmniej na godzinę przed przybyciem Skarskiego za kulisy, możliwe nawet, że nawet przed rozpoczęciem programu w *Złotym Ptaku*.

To był pierwszy punkt, który mnie w drodze logiki myślenia, naprowadził na następujące dalsze.

Z raportów spisanych przez pana komisarza Borewicza wynikało jasno, że ofiara musiała stoczyć z mordercą gwałtowną walkę, zanim śmiertelny cios ugodził. Ślady walki były: zadrapania na twarzy zamordowanego, silne sińce w kształcie obręczy na jego rękach, przewrócone krzesło na ziemi, na którym badania daktyloskopijne wykazały wyraźne ślady palców.

Scenę mordu odtwarzałem sobie w myślach w następujący sposób: między zamordowanym, a mordercą, doszło do sprzeczki, gwałtownej wymiany zdań, która zakończyła się szamotaniem, upadkiem obu na ziemię, a potem śmiertelnym ciosem. Mertinger był człowiekiem dość wysokiego wzrostu, silnie zbudowanym, więc wykluczałem z góry, by mógł się dać zarznąć jak baran. Wyobrażałem sobie, że Mertinger, widząc niechybną śmierć, stoczył z mordercą rozpaczliwą walkę, a wynikiem tej walki muszą być widocznie ślady ciosów i uderzeń również na ciele mordercy. Idąc po tej linii myślenia, poddałem bezzwłocznie Skarskiego oględzinom lekarskim i mimo, że oględziny te przeprowadzone były niesłychanie dokładnie, nawet przy użyciu bardzo silnego szkła powiększającego nie dały żadnych wyników. Na skórze Skarskiego nie znaleziono ani śladu zasiniaczenia, ani zadrapania.

Wreszcie weźmy fakt, który w swojej konsekwencji zmusza mnie do twierdzenia, że śledztwo było lekkomyślnie prowadzone. Oto badania śladów palców na poręczu krzesła i na kindźale wykazały, że oba te ślady pochodzą z dwu zupełnie innych rąk. Bardzo łatwo udało mi się ustalić, że ślady palców na krześle są odciskiem ręki Mertingera, czyli że Mertinger bronił się krzesłem i nim uderzał w mordercę. Policja nie badała dość skrupulatnie krzesła, a gdyby to była uczyniła, bezzwłocznie musiałaby zauważyć, że koniec jednej nogi krzesła, miał na sobie bardzo delikatne ślady krwi. Ten ślad pochodził z uderzenia mordercy. Więcej natomiast uwagi poświęciła policja śladom palców na rękojeści kindżału. Ślady te były zupełnie niezgodne ze śladami ręki Skarskiego. Chcąc jednak ułatwić sobie pracę, policja po prostu obeszła tę przeszkodę takim rozumowaniem: ponieważ istnieje niezgodność między śladami a ręką Skarskiego, więc Skarski prawdopodobnie nie mógł dostatecznie objąć grubej rękojeści i w chwili pchnięcia obrócił ręką po rękojeści. Takie twierdzenie jest wręcz śmieszne. Ślady odtworzone przez daktyloskopów policyjnych nie były zamazane, przeciwnie – bardzo wyraźne, i one

wskazywały na to, że morderca musiał mieć rękę okazałych rozmiarów z niezwykle silnie rozwiniętymi mięśniami. Darują panowie, ale uśmiechnąłem się, widząc Skarskiego przed sobą, na myśl, że ten człowiek nerwowy, neurastenik, mógł być zdolny do tak silnego uderzenia, by kindżał przeszył całe ciało ofiary i utkwiał aż na głębokość siedmiu centymetrów w twardej desce podłogi. Tak uderzyć mógł człowiek tylko niezwykle silny, wprost atleta.

To wszystko było przyczyną, że na Skarskiego, patrzyłem zawsze jako na świadka zbrodni, a nie jak na mordercę. Sądzę, że moje rozumowanie miało trochę słuszności w sobie – to chyba, panowie, musicie mi przyznać.

A teraz przystępuję do drugiej części śledztwa, która mnie doprowadziła, aż do ujęcia sprawcy.

Łubieński zapalił papierosa, głęboko zaciągnął się dymem i z wyrazem ironii wpatrywał się w twarz prokuratora i komisarza policji. Gliński i Borewicz milczeli, teraz rozumieli, że śledztwo przez nich prowadzone miało istotnie dużo nieścisłości i że Łubieński góruje nad nimi ścisłym systemem myślenia i jakąś nadzwyczajną logiką w ocenie faktów i wypadków.

— A teraz kolej na drugą część śledztwa — spokojnie mówił Łubieński.

— Burząc nieudolny gmach, zacząłem stawiać nowy. Kamieniem węgielnym dla nowego śledztwa, było przypadkowe odkrycie czerwonego błazna. Z pewnością dotychczas nie jest panom wiadome, kto ukrywał się pod czerwoną maską. Otóż czerwonym błaznem nie był nikt inny tylko Józef Skarski, brat Wiktora. Mając czerwonego błazna, uzupełniłem sobie całość dowodu ze świadków. Zacząłem wolno i ostrożnie naciskać każdy klawisz tej skomplikowanej klawiatury i zaraz u wstępu usłyszałem fałsz i zgrzyt.

W zeznaniach swoich oświadczył mi dyrektor *Złotego Ptaka*, pan Metzner, że w dniu morderstwa, jeszcze przed rozpoczęciem przedstawienia, wypłacił honorarium czerwonemu błaznowi. Czerwony błazen natomiast z całą stanowczością twierdził, że w dniu morderstwa żadnego honorarium nie otrzymał, że przyszedł do teatru dopiero na kilka minut przed rozpoczęciem drugiej części programu. Wobec tej niezgodności w zeznaniach, musiałem Metznera skonfrontować z czerwonym błaznem. W czasie konfrontacji wyszło na jaw, że Metzner osobiście nie płacił czerwonemu błaznowi jego należności, ale wyręczał się inspicjentem, posyłając przez niego pieniądze w zamkniętej kopercie. W dniu morderstwa, jeszcze przed rozpoczęciem przedstawienia, Metzner wyraźnie spytał inspicjenta, czy wręczył czerwonemu błaznowi kopertę z pieniędzmi, a ponieważ inspicjent upewnił go, że pieniądze wręczył, więc Metzner przypuszczał, że czerwony błazen już jest w garderobie i tak też w policji zeznał. Wynik tej konfrontacji zmusił mnie do szczegółowego przesłuchania inspicjenta. Przyciśnięty do muru inspicjent Gładysz, znany w teatrze pod pseudonimem *Otello*, zeznał ze skrucą i pokorą w sercu, że korzystając po wykryciu morderstwa z zamieszania, zgiełku i ulotnienia się czerwonego błazna, po prostu przywłaszczył sobie jego honorarium.

Dalszy, niezwykle ważny moment, który ułatwił mi odszukanie mordercy, to był kindżał, którym przebito Mertingera. Dyrektor teatru mianowicie zeznał, że kindżał ten należał do inwentarza teatru. Czerwony błazen twierdził stanowczo, że kindżału nigdy na oczy nie widział, że nie był on mu potrzebny do żadnych występów i wykluczył, by kiedykolwiek ten kindżał znajdował się w jego garderobie. Natomiast inspicjent teatru upierał się przy tym, że kindżał ten od kilku miesięcy znajdował się w garderobie numer trzy, że stał zawsze oparty o róg ściany obok drzwi. Ponownie więc natknąłem się na niezgodność w zeznaniach.

Chcąc ustalić czyje zeznanie jest prawdziwe, czy czerwonego błazna, czy inspicjenta, przesłuchałem dziewczęta, które sprzątały w garderobie. Po okazaniu im kindżału, obie zgodnie oświadczyły, iż w czasie sprzątania nigdy takiego kindżału nie widziały. Prowadząc w tym kierunku śledztwo dalej, stwierdziłem, że klucz od rekwizytorni posiadał tylko inspicjent i on

wydawał za pokwitowaniem każdemu z artystów potrzebny mu przedmiot. Kwity te udowodniły, że kindżał od miesięcy nie był używany. Wprawdzie, przed pół rokiem jeszcze jakaś tancerka do swoich wschodnich tańców wypożyczyła właśnie ten kindżał, którym dokonano morderstwa, równocześnie jednak poświadczenie, które mam w aktach, wykazuje, że już po upływie dwu tygodni tancerka ta zwróciła wypożyczony przedmiot inspicjentowi.

Ponieważ pan inspicjent w czasie śledztwa dwukrotnie rozminął się z prawdą, wziąłem go więc pod baczniejszą obserwację. Po upływie dwu dni agenci policyjni donieśli mi, że inspicjent jest notorycznym pijakiem, że stale uczęszcza do szynkowni Jordana na Starym Mieście, gdzie znany jest pod pseudonimem *Otello*. Śledząc Gładysza w nocy razem z dwoma agentami policji, udałem się do szynkowni, której wszystkie wyjścia kazałem policji zamknąć. Gładysz późną nocą wtoczył się z kilkoma innymi osobnikami do tej mordowni, zaś około drugiej w nocy, już zupełnie pijany, pokłócił się ze swoim towarzyszem, człowiekiem również z pod ciemnej gwiazdy, wszczął z nim bójkę. Widziałem, jak zebrani w tej speluncie apasze cofali się z przerażeniem przed Gładyszem. Słyszał on w tej szynkowni jako awanturnik obdarzony niepospolitą siłą. Kazałem awanturnika bezzwłocznie aresztować, a z nim równocześnie wszystkich kelnerów, dziewczęta i właściciela knajpy. Połów był obfity i nieoczekiwane rezultaty przyniósł dla śledztwa. W czasie rewizji w szynkowni znaleźliśmy w bufecie złoty zegarek z dewizką z monogramem *K.M.* i kilka zagranicznych papierów wartościowych. Właściciel szynkowni wyjaśnił, że zegarek i papiery zastawił u niego Gładysz za kwotę pięciuset złotych i miał je w ciągu tygodnia wykupić. Zaraz rano wysłałem agenta policji z zegarkiem do pani Mertingerowej, a z papierami wartościowymi do prokurenta banku *Mertinger i spółka*. Za godzinę miałem odpowiedź, która nie była dla mnie niespodzianką. W księgach bankowych stwierdzono, że papiery wartościowe były własnością szefa, a pani Mertinger oświadczyła, że zegarek był własnością męża, co stwierdza monogram *K.M.* — Karol Mertinger.

Gładysz w czasie pierwszego posłuchania odmówił mi wszelkich wyjaśnień. Był tak zaskoczony nagromadzonymi przeze mnie dowodami jego winy, że uważał milczenie za najskuteczniejszą broń. Ja osobiście dążyłem do tego, by Gładysz sam przyznał się do zbrodni. Wkrótce i ten eksperyment mi dopisał. Oddałem aresztanta lekarzowi więziennemu do zbadania. I co się pokazało? Otóż lekarz odkrył na głowie Gładysza silnie zabliznioną ranę pochodzącą od uderzenia jakimś tępym narzędziem, możliwe, że nogą od krzesła.

Mając już wszystkie nitki w rękę, kazałem z więzienia śledczego przyprowadzić Gładysza. W drodze perswazji, przemawiania mu do rozsądku doprowadziłem do tego, że Gładysz rozplakał się i przyznał otwarcie, że Mertingera zamordował.

Niezwykle ciekawe są jednak motywy tej zbrodni. Niech panowie łaskawie słuchają, ja odczytam protokół zeznań Gładysza, na dnie ich leży bardzo, bardzo ciekawa i smutna historia...

Łubieński zagłębił się w plik papierów, szybko zaczął je przewracać i po chwili wyciągnął duży arkusz papieru, cały zapisany drobnym kaligraficznym pismem. Gliński i Borewicz pochylili się bliżej ku Łubieńskiemu, by lepiej usłyszeć treść zeznań Gładysza.

Łubieński czytał:

Tak, przyznaję, zamordowałem Karola Mertingera, zbrodni tej nie dopuściłem się jednak wyłącznie z chęci rabunku. Mordując, chciałem pomścić na nim wszystkie nieszczęścia, jakie dotknęły mnie w życiu. Mertinger zniszczył moje szczęście, Mertinger uczynił ze mnie wykolejeńca, nałogowego pijaka, wreszcie mordercę. Człowiek ten wplótł się w moje życie, jak jakaś nieszczęsna nić.

Zamordowałem, ale ani przez chwilę nie czułem i nie czuję się winny, owszem, mordując, miałem wrażenia, że wymierzam tylko sobie sprawiedliwość, jakiej ani żaden sąd, ani życie dać

mi nie mogły.

Było to przed laty dwudziestu. Byłem jednym z najlepszych i najzdolniejszych akrobatów, o występ którego dobijały się wszystkie teatrzyki różnaitości. Zarabiałem wówczas dużo pieniędzy i ani grosza z nich nie wydawałem na wódkę. Te dobre moje czasy pamięta doskonale obecny dyrektor „Złotego Ptaka” pan Metzner.

W czasie występów w Hamburgu w zespole artystów, jak zwykle wielojęzycznych, poznałem młodziutką dziewczynę, śpiewaczkę o jasnych jak zboże włosach, o oczach niebieskich. Była Polką, pochodziła z Warszawy i nie wiedzieć dlaczego, przybrała sobie imię niepolskie „Mery”. Nazywałem ją jednak Marynią. W teatrzyku hamburskim tylko my dwoje byliśmy Polakami. Nie dziw, że nawiązała się między nami serdeczna przyjaźń. Marynia jako śpiewaczka nie była zbyt utalentowana. Dyrekcje większych teatrów niezbyt kwapiły się z zaangażowaniem jej na szereg występów. Marynia wskutek tego często płakała. Była biedna jak mysz kościelna. Chciałem jej pomóc. Impresariom teatrów stawiałem w tajemnicy przed Marynią taki warunek, że tylko wtedy przyjmę engagement, jeśli i ją zaangażują. Zjeździliśmy razem prawie całe Niemcy i północne Włochy. Wreszcie doszło do tego, że nie mogłem sobie wyobrazić rozłąki z przyjaciółką. Wtedy ożeniłem się z Marynią. W małżeństwie byłem bardzo szczęśliwy. Ona na każdym kroku miała dowody mojej miłości i psiego wprost przywiązania, a ja jej miłości i kobiecej troskliwości. Dwa lata spędziliśmy na występach za granicą.

W Maryni widziałem wzór cnót i doskonałości, ale był jeden mały drobiazg, który mnie trochę niepokoił: jej niezwykle żądza toalet.

Tłumaczyła mi ustawicznie, że nie mogąc głosem zdobyć publiczności, musi zdobyć ją toaletami. Jak już poprzednio powiedziałem, zarabiałem dużo, ale dochody moje nie sięgały milionów. Nie mając sam zaś żadnych potrzeb, bo jako aprobata i gimnastyk nie używałem ani alkoholu, ani tytoniu, oddawałem żonie cały swój zarobek na toalety. Przyznam, że schlebiał mi widok żony lepiej i najmodniej ubranej ze wszystkich jej koleżanek. Bardzo często na jej występ wychodziłem zza kulis i siadałem między publicznością w krzesłach. Słyszałem wtedy głosy sąsiadów zachwyconych urodą i toaletami Mery. Nieraz mimo woli w czasie jej występu, chciałem wstać i krzyknąć do publiczności: „Słuchajcie, ta piękna kobieta to moja żona, to żona Jana Gładysza.” Nigdy nie starałem się tej jej słabości ujarzmić, nie przeczuwając, że ten drobiazg zaważy na całym moim życiu.

Po dwu latach tulaczki za granicą ona i ja uczuliśmy tęsknotę za krajem. Wróciliśmy bezpośrednio z Włoch do Warszawy, odrzucając doskonałe propozycje rozmaitych zagranicznych impresariów. W Warszawie na dość skromnych warunkach zgodziliśmy się występować w „Tabarin”.

W Warszawie żona z duszy i serca dziękowała mi za to, że zgodziłem się na powrót do kraju. Zaraz odszukała swoje przyjaciółki, spędzała całe godziny z nimi w cukierniach tak, iż doszło do tego, że widywaliśmy się tylko w czasie prób. Nieraz czyniłem jej gorzkie wyrzuty z tego powodu. Zamykała mi jednak usta zawsze jednym zapewnieniem: że tylko mnie kocha i zawsze jest mi wierna. Nadszedł wreszcie jeden dzień, który był szczytem mego szczęścia. Raz wieczorem po przedstawieniu, żona oświadczyła mi, że czuje się matką i że za miesiąc lub dwa będzie musiała zaprzestać występów. Wiadomość ta tyle mi dała szczęścia, że płakałem jak dziecko, całując jej nogi i ręce. Od tego czasu ustawicznie prosiłem ją, by po przedstawieniu wracała ze mną do domu; chciałem z nią dowoli nagadać się, snuć plany na przyszłość i ciągle mówić z nią o dziecku..

Niestety Marynia nie zawsze skłonna była spędzać ze mną wieczór. Pod pozorem konieczności odwiedzenia chorej ciotki, lub imienin przyjaciółki, wymykała się stale z domu. Mnie ogrom szczęścia tak rozbrajał, że nie byłem zdolny najmniejszej uwagi zrobić żonie. Mery

stawała się z dnia na dzień coraz bardziej kapryśna, wybujalo w niej jakieś śmieszne upodobanie do błyskotek i biżuterii z fałszywych kamieni. Tłumaczyłem sobie te jej objawy nienormalnym stanem. Owszem nawet cieszyłem się im więcej była kapryśna, chętnie dawałem jej ostatni grosz na bezwartościowe błyskotki, których kupowała niesłychane mnóstwo. Mnie się zdawało, że to zbliża mnie do dnia szczęścia.

Raz otrzymałem list zaadresowany jakimś nieznanym pismem. Dziwny niepokój ogarnął mnie, gdym przedzierał kopertę.

Był to anonim skreślony kobiecym pismem. Pisząca nazywała się „życzliwą przyjaciółką” i radziła mi, bym nie dowierzał żonie i baczną uwagę zwrócił na to, z kim i gdzie ona chodzi.

Po przeczytaniu listu wybuchnąłem śmiechem, bo czyż mogło być prawdopodobne, by ta kochana jasnowłosa Marynia, która miała wkrótce być matką naszego dziecka, mogła mnie zdradzać?

Śmiałem się serdecznie i szczerze. Anonim oczywiście pokazałem żonie i śmieliśmy się oboje z głupoty i złości ludzkiej. Marynia, czyste, dobre serce, oburzała się potem na niegodziwość. Twierdziła, że list ten pisała jedna z jej rywalek, która zieleniała na widok toalet Maryni i jej błyskotek, które uważała za prawdziwe klejnoty. Po tym anonimie Marynia spędziła kilka wieczorów ze mną. Jaki byłem wtedy szczęśliwy, jak wdzięczny jej za ten objaw dobroci. Ale w kilka dni później Marynia znowu wróciła do dawnego trybu życia. Wieczory znów sam spędzałem. Samotność źle sprowadza myśli. Właśnie w czasie takiego jednego wieczoru, gdy sam siedziałem w domu, myśl moja wróciła do anonimu. Zadałem sobie pytanie, a co by było, gdybym tak rzeczywiście przekonał się o tym, że Marynia mnie zdradza. Z wściekłości zacząłem gryźć pięści, rozerwałem krzesło, ale po chwili uspokoiłem się, a potem śmiałem się, bo cóż za przypuszczenie – Marynia i zdrada. A jednak to pytanie zaczęło już częściej w mych myślach kotłować. Były dnie, iż szalałem z zazdrości, a równocześnie bałem się, by Marynia tego nie spostrzegła, wiedziałem na pewno, że byłaby mnie wyśmiała, a może nawet zazdrość byłaby mnie poniżyła w jej oczach.

Męczyłem się długo, ale tylko sam w sobie, żonie nie dałem nigdy poznać, że mnie coś trawi i zjada. Potem naszły mnie jeszcze przykrzejsze objawy.

Natychmiast po swoim występie starałem się uciec z teatru, zdawało mi się, że każdy z kolegów, każda z koleżanek, jakoś kpiąco i ironicznie patrzy na mnie. Ale to mi się tylko tak zdawało, ale mimo to chętnie byłbym chwycił wszystkich za szyję i podusił.

Raz zdecydowałem się, że ukróczę swoją mękę w ten sposób, że wysłedzę Marynię dokąd idzie. A o przedstawieniu zacząłem się za węglem domu, Widziałem, jak Marynia wyszła z „Tabarin” i szła w kierunku Mazowieckiej. Szedłem za nią kilkadziesiąt kroków, a potem zawróciłem, ogarnął mnie wstyd, że szpieguję żonę, która ma być wkrótce matką... Poszedłem do domu, znów w samotności zaczęły mnie nachodzić straszne myśli. Doszło do tego, że przestałem spać. Słyszałem doskonale jednej nocy, Marynia powróciła o pierwszej po północy. Udawałem, że śpię, nie chciałem robić sceny, bałem się, że będzie płakać... Następnego dnia zwróciłem jej jednak uwagę, że takie późne przychodzenie do domu naraża ją na plotki i obmowy, i że sama swoim zachowaniem się prowokuje anonimy. Marynia początkowo usprawiedliwiała się, że ją ciotka tak długo zatrzymuje u siebie, a potem ni stąd, ni z owąd wpadła w złość. Zaczęła mi gorzkie czynić wyrzuty, że jej nie umiem ocenić, że brutalnie robię jej uwagi, że kto inny umiałby ją uszanować. Ten niespodziany wybuch zastanowił mnie. Wyrzuty jej zostawiłem bez odpowiedzi, ale zacząłem nad nimi myśleć, zacząłem podejrzewać...

Kto inny potrafiłby ją inaczej ocenić i uszanować... Te słowa dały mi dużo do myślenia. Tej nocy postanowiłem, że bez wszelkich skrupułów będę ją śledził.

Następnego dnia, gdy przyszedłem za kulisy, wręczono znowu list. Poznałem natychmiast

pismo nieznannej „życziwej przyjaciółki”. List zawierał tylko tych kilka słów:

„Jeśli chcesz się przekonać, że żona cię zdradza, bądź dziś o godzinie 10-iej w hotelu „Palace” pokój nr 18, przekonasz się z kim twoja cnotliwa Marynia spędza wieczory”.

Po odczytaniu anonimu, już nie śmiałem się tak jak poprzednio. Starannie schowałem list do kieszeni, wszedłem do garderoby, by przebrać się w trykoty. Ani przez sekundę nie myślałem o tym, czy pójdę do hotelu „Palace”, czy nie; w mojej głowie zapanowała jakaś dziwna pustka.

Pamiętam, że tego wieczoru długo ubierałem się, tak długo, że aż inspicjent dwukrotnym dzwonieniem wywoływał mnie z garderoby. Wszedłem na scenę, ręce i nogi mi drżały, a w mięśniach czułem jakieś osłabienie i ból. Tego wieczoru występu mego nie oklaskiwała publiczność tak długo, jak zawsze. Kilka sztuk mi się nie udało.

Zaraz po występie poszedłem jak zawsze do garderoby żony, rozmawiałem z nią obojętnie, a na pożegnanie rzuciłem jej to samo pytanie, które zadawałem jej codziennie:

— Czy dziś zaraz po występie wrócisz do domu?

— Nie wiem, może zaraz — odpowiedziała z jakąś niechęcią w głosie.

Zaledwie wyszedłem na ulicę, zacząłem jak oszalały biec w kierunku domu. W mieszkaniu światła nie zapalałem, w ciemności wyjąłem z nocnej szafki rewolwer, palcami po omacku skontrolowałem, czy nabity, i włożyłem go do kieszeni palta. Wszedłem na ulicę. Była godzina dziewiąta. Poszedłem w kierunku Alei Ujazdowskich i Belwederu i choć deszcz lał strugami, usiadłem na ławce.

Z góry już wiedziałem, że na wskazane miejsce pójdę. Jedno jednak postanowienie powziąłem; jeżeli zastanę ją w pokoju hotelowym z mężczyzną, zastrzelę i ją i jego, jeśli zaś jej nie zastanę, anonim okaże się niegodziwą ludzką potwarzą, wtedy wrócę do domu i sam sobie w łeb strzelę, bo popełniam niegodziwość, podejrzewając ją, tę ukochaną, szlachetną Marynię.

Biła dziesiąta. Wstałem z ławki i wolno zacząłem się kierować w stronę Alei Jerozolimskich i hotelu „Palace”. Przed kawiarnią „Udziałową” stanąłem, coś mi szeptało do ucha, bym nie szedł. Przez chwilę zawahałem się, ale tylko przez chwilę, potem szybko ruszyłem naprzód.

Wszedłem wreszcie do rześkiego oświetlonego westybulu hotelowego. Grzecznie i z zupełnie obojętną miną spytałem portiera, gdzie jest pokój numer 18. Otrzymałem natychmiast odpowiedź:

— Pierwsze piętro, czwarte drzwi na prawo.

Wolno wchodziłem na schody wystlane miękkim, pąsowym dywanem.

Szybko odnalazłem te drzwi, za którymi miała się rozstrzygnąć cała moja przyszłość. Chwilę stałem nadsluchując. Słyszałem wyraźnie szybkie, tłumione kroki, jakby ktoś tam i z powrotem chodził po dywanie. Serce biło mi tak mocno, że zdawało się iż rozsadzi mi piersi i gardło.

Był moment, w którym chciałem uciekać spod tych nieszczęsnych drzwi, ale jakaś niewidzialna siła przykuła mi stopy, nie byłem w stanie ani jednego ruchu wykonać, jak długo tak stałem, nie wiem, usłyszałem brzęk szkła, jakby ktoś trącał kieliszkiem w kieliszek. Wreszcie doszedł mego ucha poirytowany głos. Po długiej chwili poznałem, że to głos kobiety. Wyteżyłem całą siłę swego słuchu, by rozpoznać czy to głos mojej Maryni. Po długiej chwili poznałem, że Marynia przed kimś się usprawiedliwia, kogoś prosi o przebaczenie... W jednej chwili silne okowy moich rąk i nóg spadły jak pod wpływem czarodziejskiego dotknięcia. Fala krwi uderzyła

mi na mózg. Poczułem w sobie jakąś nieznaną moc, coś, co dodawało mi odwagi do pomśzczenia swych krzywd i tylu bezsennych nocy. Czulem, że jeśli wejdę do pokoju, to za jednym zamachem doznam ulgi, zrzucę jakiś piekielny ciężar ze swoich bark.

Zapukałem i to bezwiednie z taką siłą, że moje pukanie rozległo się jak głuchy hałas po korytarzu hotelowym. Wyczułem, że ten atak skonsternował obecnych w pokoju. Zapukałem ponownie. Wreszcie jakiś męski głos zapytał:

— Kto tam?

— Gładysz, proszę natychmiast otworzyć! — odpowiedziałem nieswoim, zmienionym głosem.

Nieznajomy cofnął się w głąb pokoju, potem usłyszałem pomieszane głosy, nerwowe suwanie meblami, a wreszcie spazmatyczny głos Maryni...

Trzeci raz już nie stukalem, uchwyciłem klamkę, targnąłem nią kilka razy z taką siłą, że omal jej nie zlamalem. Gdy dalej nikt nie odpowiedział, całym wysiłkiem mięśni naparłem na drzwi. Listwa za jednym zamachem ustąpiła. Drzwi jakby automatycznie rozsunęły się przede mną, torując drogę do wnętrza pokoju.

Pokój tonął w powodzi światła. Obok czerwonej pluszowej otomany stała moja żona, on stał oparty o stół, na którym przygotowano zastawę do kolacji. Na mój widok oboje z przerażenia tak zbledli, że twarze ich zdawały się być z marmuru. Wpatrzyłem się w niego, stał nieruchomo jak posąg, w małych czarnych jego oczkach, odbijał się jakiś nędzny, podły strach. Szczeka drżała mu nerwowo, miałem wrażenie, że chętnie byłby padł przede mną na kolana i prosił mnie o litość. Czulem nieopisaną nienawiść, a równocześnie i obrzydzenie do tego uwodziciela, pod którym kolana drżały na widok człowieka, który przyszedł upomnieć się o swoją krzywdę. Długo, długo patrzyłem mu w twarz, a on nie mógł wytrzymać siły mego wzroku, chciał coś mówić, a usta mamrotały jakieś niezrozumiałe słowa. Z obrzydzeniem plunąłem mu w oczy.

Wzrok mój przeskoczył z uwodziciela na żonę. Czulem, że pod pływem mego wzroku lada chwila zemdleje. Chciałem się z nią rozmówić, jak długo była przytomna. Chciałem ją o coś zapytać, ale głos uwiązł mi w krtani, z gardła wydobywało się tylko jakieś charczenie, przypominające rozjuszzone zwierzę. Wolno włożyłem rękę do kieszeni mokrego palta. Wydobyłem rewolwer i z całym spokojem wymierzyłem do niej z odległości kilku kroków? Usłyszałem z jej ust jedno słowo:

— Przebacz!!

Było za późno. Padł strzał. Chwyciła się rękoma za skroń, ukłękła na dywanie, a potem wolno bezwładnie osunęła się na ziemię. Jeszcze teraz słyszę tępe stuknięcie jej głowy o podłogę. Nie wiedząc co czynić, podbiegłem do niej, chwyciłem jej głowę w swoje ręce. Spod jej jasnych jak len włosów płynęła nitka czerwonej jak koral krwi, wila się ona przez całą twarz koło nosa i biegła po jej białej szyi.

Osunąłem się przed martwą Marynią na kolana, tuliłem jej głowę, całowałem oczy, usta. Spazmatycznie płakałem, jakbym chciał za jednym zamachem całą swoją krzywdę we łzach utopić. Łzy przynosiły mi ulgę, nie starałem się więc ich powstrzymywać. Nie chciałem uciekać, za żadną bowiem cenę nie chciałem się z nią rozstać.

Jak długo płakałem, jak tuliłem jej głowę do swych piersi, nie pamiętam, ocuciło mnie jakieś silne brutalne szarpnięcie. Nade mną stał komisarz policji, dwóch policjantów i tłum ciekawych. Kazano mi wstać - nie mogłem. Siłą podniesiono mnie do góry, okuto w kajdanki.

Jego już nie widziałem. Zbiegł w porę.

Długo siedziałem w więzieniu, zanim stanąłem przed sądem. Na rozprawie uwolniono mnie od winy i kary. Nie potrafiono jednak usunąć przed mych oczu wspomnienia ostatniej pieszczoty z Marynią.

Do domu wróciłem tylko po to, by pierwszemu lepszemu handlarzowi wszystko sprzedać. To, czego nie potrafiłem sprzedać, rozdałem między kolegów.

Dyrektor „Tabarin” za wszelką cenę chciał mnie zatrzymać w kabarecie, przypuszczał, że, nie tylko jako akrobata, ale jako bohater krwawej sensacji, ściągać mu będą tłumy publiczności do teatru. Na mojej tragedii chciano zrobić interes.

Tego samego dnia, w którym wypuszczono mnie z więzienia, wyjechałem z Warszawy. Włóczyłem się całe lata za granicą, starannie unikając miast, w których byłem z Marynią. Koledzy i koleżanki ochrzcili mnie przydomkiem „Otello”, nie wiedząc, ile brutalności ten ich żart w sobie zawiera. To słowo „Otello” paliło mnie, przed tą nazwą „Otello” uciekałem do restauracji, potem do szynków. Często spóźniałem się na przedstawienia, a często nie przychodziłem wcale, bo byłem pijany.

Raz jeden bezgraniczna tęsknota zagnała mnie do tego miasta, w którym poznałem Mery. Zdawało mi się, że w Hamburgu, w tym mieście moich pamiątek, tęsknota przestanie mnie tak boleśnie żreć i palić. Zaangażowałem się do tego samego teatru, w którym po raz pierwszy zobaczyłem Marynię. Zamiast ulgi cierpienia moje w Hamburgu stokrotnie się spotęgowały. Gdy chodziłem po ogrodach, po których przed kilku laty spacerowałem z nią, zdawało mi się, że jakaś brutalna ręka dokonywa na mnie operacji. Raz w zoologicznym ogrodzie usiadłem na tej samej ławce, na której przed laty zwykle siadywaliśmy razem i snuli plany przyszłości. Taki ból, taki żal mnie wtedy uchwycił, że zacząłem spazmatycznie płakać. Tłum ludzi zebrał się około mojej ławki, wypytywano się mnie, czy ktoś nie uczynił mi krzywdy. Wtedy miałem ochotę krzyknąć na całe gardło, że wielką krzywdę uczynił mi nikczemnik, któremu nawet nie mogłem odpłacić. Ale czy rozumiano by mnie wtedy?

Tak, zabiłem ją, ale nie zabiłem w swej duszy i w swym sercu wspomnienia o niej. Wspomnienie chciałem uśmiercić wódką. Nie szło... Jeszcze gorzej... Aż przyszedł pamiętny dla mnie dzień.

Po przedstawieniu w teatrze poszedłem z kolegami do jednej z knajp portowych. Piłem tam do świtu. Rano zawlokłem się do swego numeru hotelowego i położyłem się spać. Nie wiem jak długo spałem, dość, że obudził mnie dziwny sen. Śniło mi się, że do tego pokoju przyszła Marynia. Była bardzo blada, a oczy jej nie były już niebieskie jak chabry, ale jakieś czarne o groźnym, jakby czerwonym refleksie. Ubrana była w czarną balową toaletę, białymi palcami dotykała prawej skroni, z której sączyła się cienka, błyszcząca nitka krwi. Długo stała milcząco nad moim łóżkiem, wpatrując mi się groźnie w oczy. Potem odjęła rękę od skroni i palcem wskazała na ciemny kąt pokoju. Tam stał błyszczący nikłowy trapez, na którym codziennie się produkuje. Nie rozumiałem, co to znaczy; spytałem ją, dlaczego pokazuje mi trapez. Nie odpowiedziała mi nic, tylko zaczęła zanosić się od spazmatycznego śmiechu. Ten śmiech nie był jej zwykłym śmiechem, było w nim coś groźnego, coś sztucznego, nie było wesołości. Zbudziłem się z silnym bólem głowy, zlany zimnym polem. Był już wieczór, musiałem ubierać się szybko, by zdążyć do teatru. Przez całą drogę myślałem, co ten sen oznacza. Nawet w garderobie nie mogłem ochłonąć z wrażenia. Wreszcie usłyszałem głos dzwonka, inspicjent wzywał mnie na scenę. Na scenie ujrzałem ustawiony mój błyszczący nikłowy trapez, a przy jednej sztabie stała ona, tak ona, tak samo była ubrana, jak widziałem we śnie, z tą samą cienką strugą kiwi na twarzy i na szyi. Długą chwilę walczyłem sam z sobą, zanim udało mi się straszną wizję odgonić. Wskoczyłem wreszcie na trapez, rozpocząłem karkołomne produkcje. Gdy z szaloną szybkością wśród burzy oklasków, robiłem całym sobą młynce, nagle ta sztaba, przy której przed minutą ją

widziałem, pękła, a ja z szalonym pędem wleciałem na dekoracje, a z nich ciężko padłem na ziemię.

Co się dalej stało, nie wiem. Obudziłem się w szpitalu. Z ust lekarza dowiedziałem się, że mam w biodrze i poniżej kolana złamaną nogę. Dwa miesiące leżałem w bandażu gipsowym. Ze szpitala wyszedłem kaleką i nędzarzem, bo o powrocie na scenę, mowy nie było. Zacząłem szukać innego zajęcia.

Ustawiczna gimnastyka i forsowne ćwiczenia wyrobiły mi niezwykłą siłę. Dzięki temu w jednym z podrzędnych kabaretów hamburskich, mogłem się produkować jako atleta.

Kalectwo i wspomnienia niedawnego szczęścia tak mnie jednak rozdrażniły, że upijałem się do nieprzytomności, a gdy byłem trzeźwy, rozdrażnienie moje było tak wielkie, że do ludzi nawet mi życzliwych odnosiłem się jak do wściekłych psów.

Raz w stanie takiego rozdrażnienia z błałego powodu pobitem dyrektora kabaretu. Oczywiście bezzwłocznie otrzymałem dymisję, wyleciałem na bruk.

Zaczęły się znów dni skrajnej nędzy i ataki wściekłości. Za kieliszek wódki byłbym dał z ochotą rękę sobie odrąbać, a feniga przy sobie nie miałem. O kredycie oczywiście ani mowy nie było. Codziennie chodziłem do portu szukać pracy, odnosiłem ludziom walizki, ale klientów nie miałem dużo, zaledwie na suchy chleb zarabiałem i to nie codziennie. Kilkakrotnie myślałem o kradzieży. Już nawet w porcie zadzierzgnąłem znajomości i stosunki z notorycznymi złodziejami; już, już chciałem się zgodzić na jakąś wyprawę, ale w ostatniej chwili przebłysk świadomości powstrzymał mnie od zbrodni.

Jednego dnia, gdy byłem bliski śmierci głodowej spotkałem na ulicy znajomego, który dorobił się kilku tysięcy marek i stworzył cyrk wędrowny. Przyjął mnie jako atletę do swego przedsiębiorstwa z tym, że zobowiązałem się do niektórych drobnych posług. Mój nowy dyrektor zaraz dał mi kilka marek zaliczki. Pierwszy mój krok był oczywiście do szynku. Czulem, czym jestem, że większy upadek człowieka jest już niemożliwy. Równocześnie zaś szukałem przyczyn tego strasznego poniżenia i wtedy odżywały strasznie bolesne, strasznie piekące wspomnienia.

Na drugi dzień zaczęły się moje występy w wędrownym cyrku. Spałem obok koni, rano zamiatałem stajnię, nosiłem wodę, zszywałem dziury w nieprzemakalnym płótnie, wieczór ubierałem się w trykoty i rozpoczynałem występ, polegający na podnoszeniu ciężarów. Była jesień; praca, wilgoć dokuczały mi strasznie. W nodze, w tym miejscu, gdzie kość była złamana, rozpoczął się straszny ból. Dyrektor-kolega nie był dla mnie życzliwy, niejednokrotnie dawał mi odczuć, że właściwie z łaski mnie trzyma i całkiem dobrze mógłby się beze mnie obyć.

Cyрк nasz, wędrując po całych Niemczech, zawędrował wreszcie i do Berlina. Na jednym z przedmieść rozbiliśmy namioty i ustawili budy. Nasze występy były jednak zbyt słabe dla wymogów nawet przedmieścia berlińskiego – publiczności prawie nie oglądaliśmy. Po kilku dniach dyrektor postanowił zwinąć budę i jechać dalej. Mnie wysłano do Berlina dla załatwienia jakiejś sprawy u władz. Gdy dojechałem do przedmieścia, nagle na placu Poczdamskim zetknąłem się oko w oko z Metznerem. Dawniej byliśmy przyjaciółmi, teraz bałem się, że Metzner nie zechce mnie przypomnieć sobie – byłem w łachmanach. Metzner patrzył na mnie przez chwilę i wreszcie poznał.

— To ty „Otello”?? Bój się boga, jak ty wyglądasz, co się z tobą stało?

Opowiedziałem mu wszystkie moje przejścia od dnia wyjazdu z Warszawy. Metzner tak się wzruszył, że płakał ze mną.

Zaprowadził mnie wreszcie do swego pokoju w hotelu, nakarmił, kupił mi ubranie i bieliznę, i jako dyrektor jednego z kabaretów warszawskich przyjął mnie jako inspicjenta za

dobrym wynagrodzeniem. Kilka dni byliśmy jeszcze w Berlinie dla zaangażowania kilku sił do Warszawy, potem opuściłem Berlin, uwiadamiając tylko listownie dyrektora wędrownego cyrku, że zrzekam się „intratnej” posady w jego koczującym przedsiębiorstwie.

W Warszawie wziąłem się gorliwie do pracy. Przestałem codziennie pić, a na pół godziny przed przedstawieniem byłem już w teatrze. Jednej próby nie spóźniłem.

Ale Warszawa miała zbyt wiele bolesnych dla mnie wspomnień i dlatego nie na długo starczył mi hart i silna wola uwolnienia się od nałogu pijaństwa. Przyszedł czas, że znowu zacząłem się upijać. Staralem się te swoje wady powetować Metznerowi w ten sposób, że byłem mu wierny jak pies, czuwałem na każdym kroku, by go nie wykorzystywano. Stałem się wkrótce dla niego niezbędny – on ufał mi jak największemu przyjacielowi. Tak upłynęły nam całe lata.

Cieszyłem się bardzo, że właściwie ja przyczyniłem się do zdobycia dla naszego kabaretu tak wybitnej siły jak czerwony błazen. Cieszył mnie widok tłumów ustawionych codziennie przed kasą, ciekawych na występy czerwonego błazna. Dla mnie czerwony błazen nie był mityczną postacią, podpatrywałem i śledziłem go ustawicznie, wiedziałem doskonale, kim jest, gdzie mieszka, którędy wchodzi za kulisy i kiedy do teatru przychodzi. Oczywiście, że ze względu na interes „Złotego Ptaka”, mego dobroczyńcy Metznera, nigdy ani słowem nie zdradziłem, kim jest ten człowiek, który taką sensację wywołał w mieście.

Jednego dnia – było to na kilka minut przed rozpoczęciem przedstawienia – przystąpił do mnie bileter i oznajmił mi, że jakiś pan chce się ze mną koniecznie widzieć. Wyszedłem do foyer i stanąłem jak wryty...

Z uprzejmym uśmiechem zbliżył się do mnie on, ten który zdruzgotał mi życie, ten który uprowadził mi moją jasnowłosą Marynię. Mimo, że szron wybielił mu włosy, że czas wykuł na jego twarzy wiele zmarszczek i fałd, poznałem go. Poznałem go po tych obleśnych, małych oczkach, w które ongiś z taką nienawiścią i wzdargą plunąłem. Ubrany był w bogate futro. W każdym ruchu jego ręki, w jego twarzy widziałem, że tego człowieka los nigdy nie smagał. On mnie nie poznał.

Z czarującym uśmiechem, z tą niedbałością właściwą ludziom bogatym, prosił mnie:

— Złożyłem się z jednym ze swych przyjaciół o bardzo poważną sumę, że do jutra rana odkryję tajemnicę czerwonego błazna. nie tyle zależy mi na sumie, o jaką się złożyłem, ile na tym, bym w zakładzie nie uległ i nie naraził się na kpiny i przykre docinki. Pan, jako inspicjent, z pewnością wie, kim jest ten człowiek. Jeśli powiedziałby mi pan jego nazwisko lub ułatwił mi zdemaskowanie tego człowieka, wtedy wypłacę panu bezzwłocznie sumę pięciuset złotych.

Udałem, że propozycja mnie zachwyca, że wszystko zrobię, byleby otrzymać tak wielką sumę za swoją usługę. Udając chwilę namysłu, powiedziałem:

— Oczywiście, że za pięćset złotych dopomogę panu do wykrycia tajemnicy. Ale nazwiska tego człowieka doprawdy nie znam. Dyrekcja teatru zdaje sobie sprawę z tego, że właśnie tajemniczością robi sensację, i nazwisko czerwonego błazna trzyma w ścisłej tajemnicy. Ani mnie, ani nikogo z personelu, nawet sekretarza, do tej tajemnicy nie dopuszczono. Choćbym chciał, nie mogę zdradzić panu tajemnicy, ale mam pewny sposób, który ułatwi panu wyśledzenie tajemniczego człowieka. Przez ukryte, mnie tylko znane, drzwi przeprowadzę pana za kulisy i ukryję pana obok garderoby czerwonego błazna. Pan przypatrzy się temu tajemniczemu człowiekowi dokładnie, a potem gdy będzie wychodził z teatru, z ukrycia może pan go śledzić na ulicy i podpatrzeć, gdzie mieszka.

Nieznajomy ucieszył się moją propozycją. Niedbałym ruchem ręki sięgnął do kieszeni, wyjął plik banknotów i wręczył mi je ze słowami:

— *To jako zadatek. Gdy impreza się uda, otrzyma pan resztę.*

Podziękowałem, szybko schowałem pieniądze do kieszeni.

Tymczasem plan zemsty w mej głowie dojrzał.

Całym wysiłkiem woli starałem się, by nieznajomy nie wyczytał w mych oczach co wewnątrz przeżywam. Przeprowadziłem go tajnym wejściem przez boczne podwórze do garderoby numer trzy. Wiedziałem doskonale, że czerwony błazen przyjdzie dopiero za godzinę i mam dość czasu na „rozmowę” z tym szubrawcem.

Pan w bogatym futrze dowierzał mi najzupełniej. To ułatwiło mi przeprowadzenie planu. Ukryłem go w garderobie między drzwiami a szafą, upomniałem go, by zachował się zupełnie cicho, zagasilem światło i wyszedłem. Zaraz pobiegłem do rekwizytorni i szukałem rewolweru. Znalazłem go, ale nie mogłem odszukać naboju, wobec tego chwyciłem duży kaukaski kindżał i bez najmniejszego drżenia, bez wahania szedłem spełnić zbrodnię.

Czekałem na rozpoczęcie programu, bo wtedy orkiestra gra fortissimo marsza, chciałem zagłuszyć nasza „rozmowę”.

Orkiestra zagrała, wszedłem do ciemnej garderoby, zaświeciłem światło, w ręce błyszczał mi kindżał. Już w oczach moich musiał nieznajomy wyczytać, że chwile jego życia są policzone, zbladł jak ściana, drżącymi rękoma zaczął szukać czegoś koło siebie. Jednym skokiem byłem przy nim, przytrzymałem jego drżące ręce i nachylając się twarzą jak najbliżej jego twarzy, szepnąłem tylko jedno zdanie:

— *Czas zrobić rachunek za moją Marynię!*

Zrozumiał od razu wszystko. Czuł, że będzie się musiał bronić. Chwycił krzesło, uderzył mnie z całej siły w głowę. Nawet nie oszołomił mnie, chwyciłem go za gardło, zaczęliśmy się tarzać po ziemi. Wykorzystałem jedną sekundę i uderzyłem kindżałem z całej siły.

Potem z całym spokojem przeszukałem wszystkie kieszenie zabitego, zabrałem z nich wszystko, co przedstawiało wartość, zgasilem światło, zakręciłem drzwi od strony korytarza na klucz i wyszedłem z powrotem tajnym wejściem do foyer.

Od chwili zamordowania uwodziciela mojej żony do dnia dzisiejszego nie odczuwam najmniejszych wyrzutów sumienia, tak jakbym spełnił bardzo ciężki i przykry, ale konieczny, obowiązek.

Łubieński skończył czytać protokół zeznań Gładysza i spokojnie włożył go w gruby plik akt. Gliński i Borowicz długo milczeli. Tło, na jakim zbrodnię popełniono, dziwne refleksje poddawało ich myślom. Pierwszy przemówił Gliński:

— Tak, diabelnie smutna historia tego wykolejeńca, pijaka, który w swoim pojęciu nie popełnił nic złego, tylko pomścił tragedię swego życia.. Wobec dziwnego problemu stanie sąd... bo jeśli uwolniono go za morderstwo żony, to śmierć Mertingera jest właściwie dalszym ciągiem jednej i tej samej historii...

— Tak, smutna historia — powiedział Borewicz. — Panu, panie sędzio, można jednać pogratulować rozwiązaniu tak trudnej zagadki jak tragedia w garderobie numer trzy. Ja uchylam przed panem czoło i twierdzę, że bardzo daleki byłem od osoby Gładysza...

— Nie, bardzo był pan bliski właściwego sprawcy morderstwa, tylko bezwiednie przeszedł pan mimo niego.

— Jak to? — przerwał gwałtownie Borewicz.

— A tak — spokojnie mówił Łubieński. — Pamięta pan, panie komisarzu, ten drobny szczegół w śledztwie, które pan przeprowadzał: pies policyjny Lux po obwąchaniu rękojeści kindżału zaprowadził pana do mieszkania jakiegoś krawca, czy szewca połatajki przy ulicy Miłej...

— Cóż to ma wspólnego z tą sprawą? — wtrącił niecierpliwie komisarz policji.

— Ma i to dużo wspólnego, bo właśnie u tego połatajki mieszkał Gładysz. Panowie chcieli najprędzej skończyć śledztwo i dlatego obwinili panowie biednego Luxa o zły węch, czy też szukali panowie usprawiedliwienia w tym, że woń proszku dla badań daktyloskopijnych uniemożliwiła psu wykazanie swych zdolności. Jedno mam panom do zarzucenia: zbyt ni pośpiech w prowadzeniu śledztwa bez oglądania się na to, kogo panowie niesłusznie podejrzeniami zakopią i zniszczą w opinii publicznej.

Gliński i Borewicz milczeli. Nie umieli odeprzeć druzgocącego zarzutu sędziego śledczego. Łubieński wyjął jakiś papier i podsunął go Glińskiemu.

— Właściwy cel mojej wizyty u pana prokuratora, to prośba o podpisanie tego papieru.

— Co to jest? — spytał Gliński.

— Nakaz zwolnienia Wiktora Skarskiego z więzienia śledczego.

Gliński chwilę patrzył na papier, głęboko pochylił się nad swym biurkiem i bez słowa protestu umieścił swój podpis na wręczonym arkuszu.

Łubieński wstał z fotela, pożegnał uprzejmie Glińskiego i Borewicza.

— Zdolny chłop — powiedział komisarz policji, gdy drzwi gabinetu zamknęły się za Łubieńskim.

— Zdolny — powtórzył jak echo prokurator.

ZAKOŃCZENIE

Mieszkanie Skarskich było rzęsiście oświetlone. Przy stole nakrytym śnieżnie białym obrusem, siedziała przy kolacji cała rodzina Skarskich i pani Halina Mertinger w żałobnej sukni. Wyraz jej twarzy dziwnie jednak nie odpowiadał czarnej toalecie. Piękne oczy pani Hali wyrażały radość i zadowolenie. Co chwila na małych jej ustach igrał uśmiech, taki serdeczny, niewymuszony, uśmiech człowieka szczęśliwego.

— Nie macie pojęcia — mówiła pani Hala — jak bardzo cieszę się z tego, że za dwa dni opuszczę Warszawę. Tak mi dokuczyła ta plotkarska, małoduszna Warszawa, że całą piersią odetchnę, gdy zobaczę, że mury jej giną mi już z oczu. Tyle, tyle przykrych przeżyć, tyle niecnym podejrzeń, małomiasteczkowych plotek, tyle fałszywych przyjaciół zostawię tu, w tej Warszawie. Wydaje mi się, że odzyskuję wolność, że po raz pierwszy w życiu będę naprawdę szczęśliwa...

Wik nie egzaltował się zbyt projektami pani Hali.

— Wiesz, Hala, ja bardzo chętnie zostałbym jeszcze miesiąc albo dwa w Warszawie. Lubię teraz chodzić ulicami Warszawy, lubię pokazywać się w rozmaitych lokalach, spotykać dawnych znajomych i patrzeć im prosto w twarz. Czytam w ich oczach wyrzut i żal, że to nie ja zamordowałem Mertingera, że odjąłem cały pieprz historii i morderstwu w *Złotym Ptaku*. Wyczuwam wyraźną nienawiść u wszystkich tych, którzy zawsze mają wiadomości poufne i pewne „z pierwszej ręki”. Jak strasznie przerażeni są ci agenci pierwszorzędного biura informacyjnego moim widokiem, boją się, że lada dzień gotów jestem wejść znowu na parkiety salonów i skontrolować, ile sensacyjno-kryminalnych powieści oni skomponowali, a nas, oczywiście, ubrali w role bohaterów. Widzę przerażenie tych łyków na myśl, co teraz będzie? Ale trudno, obiecałem tobie i Wandzie, że pojedę z wami do Paryża, więc jadę...

— Żałuj Wik — mówi spokojnie Józef, obrabiając na talerzu nogę indyka — że nie umiesz pisać. Gdybyś rzucił na papier to, co o Hali i o tobie opowiadano w salonach, i wydał to jako sensacyjną powieść w Paryżu, z pewnością pobiłbyś o cały dystans Edgarda Poe'go i Conan Doyle'a z jego sensacyjnymi kawałkami. Nie wiem, czego jeszcze dobijesz się w życiu, ale bez kwestii tu w Warszawie czekała cię sława i tylko ta „konkurencja” Gładysza wlaźła ci w drogę. Ręczę ci, że gdybyś był został skazany na śmierć, byłbyś otrzymał kilkanaście tysięcy listów miłosnych od cór syreniego grodu, a codziennie otrzymywałbyś kilkanaście pięknych bukietów wprost na cytadelę, a po śmierci z pewnością wszystkie warszawskie histeryczki byłyby ci wzniosły pomnik. Sam sobie winienes, żeś ominął sławę... Teraz ludzie z towarzystwa nie darują ci tego śmiertelnego grzechu, że nie ty zamordowałeś Mertingera...

— Nie kpj — irytował się Wik.

— Nie kpj, mówię taką rzetelną prawdę, jakbym fotografował ludzkie myśli. Jak długo uważano cię za mordercę, tak długo byłeś niewidzialnym półbogiem rautów i bali, a teraz z pewnością uważają cię za idiotę...

— Daj pan spokój, panie Józefie — prosiła pani Hala — lepiej niech nam pan opowie, co pan zrobi, gdy my wyjedziemy.

— Co zrobić? Odprowadzę was na dworzec, a gdy pociąg odejdzie, odetchnę z ulgą, że nareszcie jestem sam.

— Jest pan niezdolny. Proszę przestać kpić.
— Doprawdy, że nie kpię. Ale zaciekawia was z pewnością jedna niezwykła wiadomość, od której cała Warszawa dziś chodzi.
— No co?
— Otóż wyobraźcie sobie, że dyrekcja *Złotego Ptaka* rozpuściła po Warszawie pogłoskę, że za trzy dni będą wznowione występy czerwonego błazna. Podobno już jutro mają być rozlepione czerwone afisze z zawiadomieniem, że czerwony błazen zmartwychwstał i z nowym repertuarem piosenek, pojawi się w środę na estradzie.
— Musisz być Józiu w nieporządku z głową... — z przekonaniem mówił Wik.
— W zupełnym porządku. Opowiadają nawet, że dyrekcja kabaretu będzie płacić czerwonemu błaznowi nieprawdopodobnie wielkie honorarium, bo dwa tysiące złotych za jeden występ.
— Józuś, co ty bredzisz? — pytała z niepokojem Wanda.
— Nic nie bredzę, mówię poważnie.
— Jak to, więc ty znowu?..
— Tak, znowu. Po waszym wyjeździe, gdy zostanę sam w Warszawie, z podwójną satysfakcją będę chłostał ludzką głupotę, która mi za to jeszcze szczerze zapłaci. Dawniej czyniłem to z musu, z konieczności, za trzy dni czynić to będę z upodobania, z zamiłowania. Szkoda tylko, że nie będziecie na premierze, program będzie cudowny, a publiczności taka masa napłynie do kabaretu, że boję się, iż rozsada ściany sali.
— A kogo weźmiesz na pierwszy strzał?
— Oczywiście, że mądrą, pięknie wyczesaną głowę wielkiego człowieka i twojego rywala, pana prokuratora Glińskiego.
— Więc ty nas pomścisz... — rzekł Wik.
Józef na pytanie nie odpowiedział, jednym haustem wypił kieliszek żytniówki i zawzięcie nakładał na swój talerz dalszą porcję indyka.

KONIEC

